

Justyna Polanska

**SUPER  
BESTSELLER  
W NIEMCZECH!**



**POD  
NIEMIECKIMI  
ŁÓŻKAMI**

ZAPISKI  
POLSKIEJ  
SPRZĄTACZKI

Świat Książki

JUSTYNA POLANSKA

**POD NIEMIECKIMI  
ŁÓŻKAMI**

Zapiski polskiej sprzątaczkii

Z niemieckiego przełożyła Aldona Zaniewska

TMN

Wydaniem polskie: 2012

Wydanie oryginalne: 2011

## Prolog

Powoli przekreślałam klucz. Obracał się ciężko. Wolną ręką mocno przyciągnęłam drzwi do siebie. Słysząc było, że zamek zaskoczył.

Drzwi nagle się otworzyły.

Od razu uderzył mnie nieprzyjemny zapach. Jakby ktoś zapomniał włożyć rybę do lodówki.

Kilka dni temu.

Pan Schneider, do którego należało mieszkanie, był samotnym starszym mężczyzną, przyjacielskim i troskliwym. Czasem pytał, czy nie zechciałabym z nim wypić kawy po pracy.

Nigdy nie odmawiałam.

Potem opowiadał mi historie ze swojego dzieciństwa w Prusach Wschodnich i pytał o życie w Polsce.

Uwielbiałam te popołudnia z panem Schneiderem.

W korytarzu panowała ciemność, to nie było normalne. Zazwyczaj starszy pan włączał „iluminację”, jak to nazywał, „żeby mi się pani nie potknęła, pani Justyno”.

Wzruszający człowiek.

– Panie Schneider, jest pan w domu?! – zawołałam.

Żadnej odpowiedzi. Zaczęłam się martwić.

Zawsze był, gdy przychodziłam sprzątać. Nie dlatego, że mi nie ufał, ale dlatego, że tak rzadko ktoś go odwiedzał.

Znów go zawołałam.

Żadnej reakcji.

Zapaliłam światło i poszłam korytarzem do sypialni.

Smród stawał się coraz silniejszy i nie do zniesienia. Wyjęłam z torebki chusteczkę i zasłoniłam nos. Drzwi do sypialni były zamknięte.

Zapukałam.

– Panie Schneider?

Moje serce biło jak oszalałe.

Drżącą dłonią nacisnęłam klamkę i ostrożnie otworzyłam drzwi.

Żołądek zastrajkował. Ledwie udało mi się stłumić odruch wymiotny. Nigdy w życiu nie miałam jeszcze do czynienia z tak potwornym smrodem.

Rolety w pokoju były spuszczone.

Ciemno.

Tylko światło z korytarza padało przez otwarte drzwi na łóżko.

Leżał w nim pan Schneider...

## Sprzątaczką nigdy nie tknęła bananów

W maju 2008 roku osobliwym przypadkiem, związanym z aferą dotyczącą techniki sprzątania, zwrócili na siebie uwagę państwo Schumacherowie. I to nie w Formule 1, tylko zupełnie prywatnie: ich sprzątaczką Ulrike podobno ukradła banany z kuchni kierowcy wyścigowego.

Banany!

Można sobie wyobrazić, jak bogatymi ludźmi są Schumacherowie. Cóż jeszcze mogłaby zatem zwędzić ta skłonna do ciężkich przestępstw Ulrike... Może napoje? Albo bułkę z serem? A niewykluczone, że wręcz całą czekoladę – a co tam, nawet czekoladę Lindt!

Sprzątaczką są bezwstydną; nie tylko kradną, ale są w dodatku niedyskretne i potajemnie sabotują swoich pryncypałów. Cora Schumacher, która, jak twierdziła, miała zawsze dobry stosunek do swoich pracowników, powiedziała „Bildowi” w tej sprawie:

Każda pani domu byłaby rozgoryczona, gdyby naruszano jej sferę prywatności takimi postępkami jak podsłuchiwanie, szpiegowanie, otwieranie prywatnej korespondencji czy używanie prywatnych przedmiotów.

Ależ to obrzydliwe. A człowiek stara się tak dobrze obchodzić z personelem.

Na kartkach specjalnie napisanych odręcznie przez Corę, wyłącznie z troski, widniały, według „Bildu”, delikatne napomnienia. Często w cennej pedagogicznie formie pytania:

Gdzie znów się podziały wszystkie banany?  
Kto opróżnił opakowanie kremu Nivea? Sami sobie zafundujcie  
krem do rąk!

Albo:

Do wszystkich! Ręce precz od naszych rzeczy.

Jaka z tego płynie dla nas nauka? Komunikuj się ze sprzątaczką tylko na piśmie. Nie wiesz, przed jakim sądem będziesz potem musiała dowieść swojej niewinności.

Ponieważ sprzątaczkę są z zasady złe; to nie są normalni ludzie jak wszyscy inni.

Stoją na najniższym szczeblu drabiny społecznej.

Są prymitywne, interesują je wyłącznie własne korzyści i kiedy przychodzą sprzątać, czekają tylko, aż w końcu wyjdiesz z domu, żeby szurnąć szmatę w kąt, splądrować twoją lodówkę, zapalić sobie potem papierosa i położyć nogi na twojej eleganckiej sofie.

Chwilę przed twoim powrotem sprawnie zacierają ślady swych niecznych postępów i udają krzątanicę.

Ale ty widzisz, że niczego nie zrobiły.

Przeciągasz palcem po ramie obrazu. Nadal jest na niej kurz!

A w kącie łazienki wciąż leży ten okruch, który specjalnie tam zostawiłaś.

Udowodniłaś jej winę!

Ona cię oszukuje, bierze twoje pieniądze i na twój koszt przyjemnie spędza czas – bo do tego wszystkiego jest jeszcze leniwa.

Ale to przecież nic nowego.

One po prostu takie są, te sprzątaczkę.

Ja jestem sprzątaczką.

## Schyl się!

**M**am na imię Justyna. Jestem z Polski.

Klienci opisują mnie jako „rezolutną trzydziestolatkę”. Za pierwsze zaoszczędzone pieniądze, które zarobiłam w Niemczech, kupiłam sobie opła tigrę – mogłam sobie na to pozwolić.

O mojej ojczyźnie powiem tylko tyle: żadnych perspektyw. Młody człowiek w Polsce nie może nic zrobić, jest bez szans.

Wielu moich przyjaciół zdało maturę albo skończyło studia i gotują w jakieś knajpie za trzysta pięćdziesiąt euro miesięcznie – jeśli mają szczęście.

Ja zatem wyjechałam do Niemiec.

Chcę coś osiągnąć.

Na przykład zdobyć wykształcenie w zawodzie wizażystki, ale jeszcze szukam. Ma być dobre, to wykształcenie, rzecz jasna – i zapewnić mi pracę.

Zrobić to tak po prostu, byle jak?

Nie chcę. Jestem konsekwentna w dążeniu do celu i rozważna.

Na sprzątaniu naprawdę nie zarabiam mało. Trzy razy do roku wyjeżdżam na urlop, do trzygwiazdkowego hotelu w Turcji, czasem w Tunezji.

Właściwie nie podoba mi się, jak miejscowi traktują tam kobiety. Jestem na to wyczulona, ponieważ dużą wagę przykładam do tego, by

być dumną kobietą.

Lubię swoje ciało i lubię ubierać się tak, żebym je czuła. To w Polsce normalne.

Dobrze wiem, że wielu Niemców nam, Polkom, to zarzuca. Podobno wyglądamy „tanio” i „jak dziwki”.

Nie rozumiem jednak, dlaczego naprawdę piękne kobiety w Niemczech nie próbują pokazać się z lepszej strony; ubrać się, trochę bardziej podkreślając figurę, zrobić lekki makijaż. Niekoniecznie aż tak jak my, Polki.

Ale i u nas bywa różnie.

Moja siostra zawsze mawia: „Nigdy nie wychodzę do piekarni bez makijażu”.

Ja przyznaję, że już mi się to zdarzyło...

Mężczyźni kochają kobiety, które coś ze sobą robią. Czasem, niestety, za bardzo. Z mojego pierwszego własnego mieszkania w Niemczech wyprowadziłam się, bo po drodze do pracy wciąż byłam nagabywana. I to zanim w ogóle mogło się pojawić fałszywe wyobrażenie – w końcu do sprzątanania nie chodziłam w stringach i na szpilkach.

Zazwyczaj noszę modny T-shirt do džinsów. To wszystko. Ale włosy zawsze mam uczesane, zrobione paznokcie i makijaż.

Wydaje się, że to już wystarczy, aby niektórzy mężczyźni mieli wrażenie, że gotowa jestem uprawiać z nimi seks.

Od razu, na ulicy.

Nieważne z kim.

Gdy przyjechałam do Niemiec, w mojej okolicy mieszkali głównie Marokańcy i Turcy. Ale też kilku Niemców i Polaków, których obsceniczne i nieszczerłynie pomysłowe komentarze doprowadziły do tego, że w końcu miałam dość:

– Hej, kochanie, chcesz się pieprzyć?

– Zrobię tak, że zaraz zwilgotniejesz!



- Pokażę ci, jak to robi mężczyzna!
  - Będziesz błagać o litość!
  - Schyl się!
  - Uszczęśliwię cię!
  - Obciągnij mi za dziesięć euro!
- Itp.

I tak codziennie po drodze do pracy. Każdego ranka i wieczora.  
Do urzygu.

## Tu jest zakaz zatrzymywania się

To naprawdę osobliwe, co czasem spotyka w Niemczech kobietę z obcego kraju.

Do wszystkiego stosuje się tylko jedną zasadę. Sama w sobie jest ona raczej pomocna i wprowadza porządek. Ale zawsze znajdzie się też ktoś, kto czuje się upoważniony do nadzorowania, czy się tej zasady przestrzega, i wskazuje, że się coś zrobiło źle – przede wszystkim w ruchu ulicznym.

Jeśli na przykład podczas prowadzenia samochodu rozmawiam przez komórkę, ktoś ściga się ze mną i dogania mnie co drugie światła – najczęściej jest to emeryt – po to, żeby mi przez zamknięte okno wyrzeshzcze niewybrednymi słowami, co myśli o kobietach. „Zasrana tępa krowa” to jedno z delikatniejszych określeń.

Rozmowy przez telefon przy włączonym silniku są zabronione.

Wiem o tym.

Ale obrażanie zupełnie obcych ludzi też.

Nie rozumiem, dlaczego ktoś uważa, że można tępić jedno bezprawie innym.

Całkowicie abstrahując od niewielkiej pedagogicznej wartości takich działań. Bo później mam tylko ochotę dwa razy bardziej ostentacyjnie rozmawiać przez telefon za kierownicą.

A najchętniej, kiedy na linii po drugiej stronie nie ma nikogo.

Nie pomaga przy tym fakt, że mam polskie tablice rejestracyjne, żebym mogła swojego nissana micrę, którym teraz jeżdżę, ubezpieczyć w Polsce – jest taniej niż w Niemczech. Oczywiście pozwala to też od razu rozpoznać, że jestem Polką...

Kiedyś odwiedziłam przyjaciółkę, która pracowała przy frytkach w barku, właściwie budzie szybkiej obsługi dla kierowców ciężarówek, i zarabiała na tym, o dziwo, dwa i pół tysiąca euro miesięcznie. Ale ponieważ buda stała tuż przy jezdni, musiałam zaparkować obok na chodniku.

Niedozwolone. Wbrew przepisom. Przystępstwo.

U przyjaciółki, która akurat miała przerwę obiadową, nie zdążyłam jeszcze spędzić nawet pięciu minut, a już starszy pan w brązowym rozpinanym swetrze i kremowych spodniach walił laską w mój samochód.

Darł się:

– Zastrane Polaczki! Róbcie u siebie w domu takie rzeczy! Tu jest ZAKAZ ZATRZYMYWANIA SIĘ!

Łatwo mnie zdenerwować, dlatego wyskoczyłam i wrzasnęłam:

– HALO, to mój samochód!

Oczekiwałam, że tyrada się skończy. Może nawet spodziewałam się przeprosin. Ale grubo się myliłam.

On: Pieprzone Polaczki – wykończycie nas! Spierdalaj, ty dziwko z bloku wschodniego!

Ja: Wykańczam pana tym, że mój samochód tu stoi?!

On: TU JEST ZAKAZ ZATRZYMYWANIA SIĘ!

Ja: WIEM, ale to nie powód, żeby walić w mój samochód laską!

Musiałam go chyba bardzo sfrustrować, ponieważ znów podniósł laskę i zaczął grzmocić w dach samochodu – na szczęście odsuwany, zatem z tkaniny.

Dopiero gdy właściciel budy szybkiej obsługi stanął między nim a moim samochodem i groźnie podniósł pięść, strażnik moralności

i kodeksu drogowego przestał walić i wycofał się, klnąc.

Drżałam na całym ciele ze strachu i wściekłości.

Nie jest to oczywiście doświadczenie reprezentatywne dla Niemców w ogólności. Ten psychicznie nie zrównoważony człowiek był wyraźnie zakręcony.

Poza tym do grona moich przyjaciół zaliczam też całkiem sporą liczbę cudownych, wesołych i inteligentnych Niemców.

Nie uwierzycie jednak, jak często towarzyszą mi takie pojęcia, jak: „polska świnia”, „polski bicz”, „wschodnia zaraza”, „dziwka ze Wschodu” i „wódkożłopka”.

Ksenofobię poczuć można tylko, będąc obcokrajowcem, a ona – to prawie oczywiste – jest tu obecna.

W Niemczech.

Również w zachodnich Niemczech.

Wciąż jeszcze.

Nawet jeśli często ukryta, bo na szczęście przestała być politycznie poprawna.

## Na tym robię listę zakupów

Mimo tych niemiłych epizodów lubię swoje życie w Niemczech. W przeciwieństwie do mojej ojczyzny tutaj są możliwości, perspektywy, przyszłość. I chcę z nich skorzystać. Jestem ambitna i – tak słyszałam – błyskotliwa.

– Masz poczucie humoru jak doker – powiedziała raz pewna klientka – dosadne, ale sympatyczne.

Uważam, że poczucie humoru świadczy o inteligencji. Naprawdę zabawni ludzie, którzy rozśmieszają innych, są z zasady bardzo bystrzy.

Staram się być zabawna.

Mój niemiecki nie jest perfekcyjny, ale całkiem niezły; tylko polski akcent i pewne gramatyczne potknięcia zdradzają moje pochodzenie. Dlatego też poprosiłam o pomoc w pisaniu.

Mnie samą denerwują źle napisane książki i chcę, żeby to, co myślę, było jasne.

To dla mnie ważne. I znam swoje ograniczenia.

Z powodu akcentu przez wiele lat nie mogłam wynająć mieszkania. Wynajmujący zawsze w końcu postanawiali mi odmówić – nie chcieli Polki w swoim domu. Zwłaszcza jeśli nie miała zaświadczenia, ile zarabia.

Dziś mieszkam z mężem na nowym osiedlu. Prawie nie ma tam obcokrajowców. Głównie niemieccy seniorzy. Ci ludzie są przyjaźni.

Panuje cudowny spokój i przyjemnie tu mieszkać.

Czasem nie mogę się nie uśmiechnąć, bo zdarza się, że po ulicy chodzą sami emeryci w szarych butach i brązowych dzierganych kamizelkach.

Jak gdyby ktoś ich sklonował.

Tylko pewna starsza dama, pani Reinhardt, ma ogniście rude włosy i zazwyczaj wkłada zielone albo turkusowe, zwiewne sukienki. Nosi grube łańcuchy i dużą torebkę. Ma sześćdziesiąt osiem lat. To wspaniały kolorowy akcent w beżowej monotonii.

Prawie nie czujemy tutaj, że jesteśmy obcokrajowcami; starsi ludzie są znacznie bardziej tolerancyjni, niż nam się z początku wydawało.

Przeszkadza mi tylko jedno.

Niemal co tydzień, gdy wychodzę z mieszkania, potykam się o śmieci. Jacyś sąsiedzi na osiedlu zbierają je i kładą pod naszymi drzwiami.

Dlaczego?

Dla nich to oczywiste: śmieci, które leżą w ogródku, musieli wyrzucić obcokrajowcy. Niemcy takich rzeczy nie robią.

A ponieważ jesteśmy tu jedynymi osobami, które nie są niemieckiego pochodzenia, porządnicy sąsiedzi wszystkie leżące dookoła śmieci celowo przynoszą z powrotem do najbardziej prawdopodobnych sprawców nieporządku.

Cóż za wspaniali detektywi!

Bez względu na to, z jak dużą dawką ironii można by na to spojrzeć, denerwowało mnie to oczywiście totalnie. A ponieważ do dziś nie wiem, kto konkretnie to robi, często leżę w nocy i nie śpię, myślę o wszystkich sąsiadach, którzy mogliby tak postępować, odrzucam te myśli, znów się zastanawiam. Kilka nocy już w ten sposób straciłam.

Uważam to za niesprawiedliwość, by ktoś sądził, że jestem brudną bałaganiarą tylko dlatego, że nie pochodzę stąd. I w dodatku nie mogę porozmawiać z tym „śmieciowym detektywem”. To niemalże doprowadziło do tego, że już chciałam się znów wyprowadzić. Ale mąż mnie uspokoił:

– Nie możesz przeprowadzać się za każdym razem, kiedy pojawiają się konflikty z sąsiadami. One zawsze są. Nieważne, czy chodzi o Niemców, Włochów, Polaków, czy kogokolwiek innego.

Miał rację, ale nadal mnie to gryzło. Bo moje mieszkanie jest czyste jak łąka. Nie znoszę brudu – w przeciwnym razie dlaczego miałabym zawodowo sprzątać?

Przez długi czas naprawdę byłam zła, kiedy musiałam zejść do piwnicy, do pralni. Również tutaj dla moich współlokatorów było najwyraźniej jasne: jeśli na podłodze walały się sfilcowane kłaki, musieli je zostawić ci chaotyczni obcokrajowcy.

A co wówczas robi porządny człowiek?

Wbiega po schodach do swojego mieszkania, wyciąga arkusz białego papieru z drukarki, zbiega po schodach do piwnicy, zbiera wszystkie kłaczki z podłogi, układa na kartce białego papieru i kładzie tę kartkę z kłakami na mojej pralce.

Pomnik zagranicznego brudu i plugastwa gotowy.

Tego sąsiada – męską połowę pary starszych ludzi z trzeciego piętra – złapałam jednak na gorącym uczynku.

Byłam w drodze powrotnej z pralni do mieszkania, kiedy naprzeciwko mnie wszedł na schody do piwnicy mężczyzna z białą kartką formatu A4.

Przedtem wpadło mi w oko, że większość sporych kłaczek z prania została zamieciona na kupkę. Dziwiłam się, dlaczego ktoś ich od razu nie wyrzucił. Teraz wiedziałam: miały trafić na białą kartkę. A potem na moją pralkę. Jak zwykle.

Dowiedzione na podstawie poszlak!

Postanowiłam zatem wziąć tego mężczyznę w obroty na schodach do piwnicy.

Ja: Dzień dobry, po co panu ta kartka?

On: Ach, dzień dobry! Muszę sobie coś... zapisać.

Ja: W piwnicy?

On: Tak, tak. Wie pani, podczas prania czasem muszę trochę

poczekać. Wtedy robię listę zakupów.

Ja: Jest pan pewien, że nie chciał jej pan położyć na mojej pralce?  
Razem z kłakami!

On: Ależ nie! To naprawdę tylko kartka na listę zakupów.

Ja: No, ciekawa jestem, czy potem nie będzie aby leżała z kłakami na pralce!

On: Nie wiem, o czym pani mówi.

Później długo był spokój. Żadnych kartek na pralce.

Niestety, nie na zawsze.

Nie wiem, czy to ten sam sąsiad, jego żona, czy ktoś inny. W każdym razie w nieregularnych odstępach czasu znów zaczęła się na mojej pralce pojawiać biała kartka z kłakami.

Super!

Później wprowadzili się Jessi i Cedric. Do mieszkania nad nami. Młoda parka w naszym wieku. Krótco przedstawiliśmy się sobie na klatce schodowej, już gdy wnosili rzeczy. Kiedy wszystkie pudła zostały rozpakowane, usłyszeliśmy dzwonek do drzwi. Na progu stali ci dwoje z butelką szampana i dwiema paczkami chipsów.

– Jesteśmy w domu nowi, macie czas?

Dostawiliśmy butelkę wódki i spędziliśmy wspólnie wieczór, podczas którego opłotkowaliśmy wszystkich sąsiadów. Również tych od kłaków z prania.

Następnego ranka chciałam zrobić pranie. Kiedy zeszłam do piwnicy, musiałam się głośno roześmiać. Jessi napisała pomadką na mojej pralce:

Witaj, kochany kłakomanie,  
zwróć w inną stronę swoją manię!

Uważałam za wspaniałe to, że Jessi stanęła w mojej obronie. Również tego często doświadczałam w Niemczech – spotykałam ludzi, którzy mi pomagali, nic z tego nie mając. Niemieckie przysłowie, które bardzo mi się podoba, mówi: „Gdzie dużo światła, tam wiele cienia”.



Zawsze jest jedno i drugie. Wszędzie.

Ale w rezultacie wyraźnie przeważa światło.

Tyle że kłakoman nie jest świetlistą postacią. Poza tym to sąsiad, który już od dawna do przesady przyjaźnie mnie pozdrawia, gdy go spotykam w garażu podziemnym.

– Dzień doooobry!!!

Życzy mi dobrego dnia tak słodko i lekko, że w środku drzę.

A potem prawdopodobnie idzie od razu kupić papier.

Nie zna mojego nazwiska. Ale oczywiście pozdrawiam go równie miło. W przeciwnym razie naraziłabym się jeszcze na zarzut, że zachowuję się nieprzyjaźnie.

Czasem na podwójną moralność trzeba reagować podwójną moralnością. To ułatwia życie.

Czasem jednak trzeba też zdemaskować podwójną moralność. Wówczas słabnie presja, którą wywierała.

Jestem sprzątaczką. Często mam do czynienia z podwójną moralnością. Widzę ją wyraźniej niż inni.

I to jest przywilej sprzątaczkki: rzut oka za kulisy.

To mój zawód.

Dowiaduję się, jak naprawdę wygląda życie ludzi. Za fasadą.

I nierzadko wygląda zupełnie inaczej niż to, co prezentują na zewnątrz.

Widzę, jak jest, a nie jak być powinno.

Ci ludzie wpuszczają mnie za fasadę i pod łóżka.

I czasem nie mogę uwierzyć własnym oczom...

## Sprzątaczką, istota nieznana

**W** Niemczech jest wiele sprzątarek. Ale jak wiele, nigdzie nie można się dowiedzieć – ani dokładnie, ani w przybliżeniu. Ani w Urzędzie Statystycznym, ani od zarządu miasta, ani też w Instytucie Demoskopii w Allensbach nie byłam w stanie się dowiedzieć, kto sprząta wszystko w Niemczech.

Sprzątarek rzadko się rejestrują. Sprzątaczką to typowy zawód uprawiany „na czarno”. Dlatego przy szacowaniu danych trzeba działać inaczej. Robić pewne założenia zgodnie z logiką.

Założmy więc ostrożnie, że sprzątaczkę zatrudnia się dopiero przy rocznych dochodach brutto przekraczających siedemdziesiąt pięć tysięcy euro i że w jednym gospodarstwie domowym zatrudniona jest tylko jedna sprzątaczką. Ogólnokrajowy Urząd Statystyczny według najnowszych danych ustalił, że w Niemczech są dobre dwa miliony (dokładnie: 2 074 804) takich gospodarstw, w których zarabia więcej niż jedna osoba – przy naszych rachunkach doszlibyśmy do dwóch milionów miejsc pracy dla sprzątarek. Nie licząc budynków użyteczności publicznej. Jeśli jedna sprzątaczką ma przeciętnie dwa gospodarstwa do posprzątania, oznacza to, że jest ponad milion sprzątarek.

Jakkolwiek tylko w sytuacji, kiedy każdy, kto może sobie pozwolić na sprzątaczką, w istocie ją zatrudni.

Już tu warto zanotować na marginesie: czasem ludzie zatrudniają sprzątaczkę, na którą właściwie nie mogą sobie pozwolić. I wówczas jej nie płacą! Moralność niektórych klientów w kwestii płacenia pozostawia bardzo wiele do życzenia.

Ale o tym potem.

Wróćmy do naszych obliczeń. Bądźmy jeszcze ostrożniejsi i przyjmijmy, że tylko połowa gospodarstw o dochodzie ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy euro, czyli dokładnie 1 037 402, naprawdę pozwala sobie na sprzątaczkę. Wówczas wychodzi nam, że ponad pięćset tysięcy kobiet (i być może kilku mężczyzn) dba w Niemczech o porządek i czystość.

Dla porównania: to więcej, niż zatrudnia niemiecka kolej, Lufthansa, Dr. Oetker, Schlecker, Merck, C&A, Porsche i Opel razem wzięci. I to skrajnie ostrożnie licząc, bo prawdopodobnie sprzątaczek jest znacznie więcej.

Jeśli przysłuchamy się głosom w kręgu znajomych i przyjaciół, nabieramy przekonania, że sprzątaniem zajmują się głównie kobiety pomiędzy dwudziestym a pięćdziesiątym piątym rokiem życia.

Wprawdzie w firmach sprzątających jest kilku sprzątaczy, ale prywatne pomoce domowe, przynajmniej według mojej wiedzy, to przede wszystkim kobiety.

Jasne, mężczyzna jako sprzątac? To coś śmiesznego, haniebnego, nieprzyzwoitego.

To zatem typowo kobiecy zawód.

Coś akurat dla płci żeńskiej. Bardzo klasycznie. Jeśli chodzi o mężczyzn – praca dla nieudaczników.

Już to pokazuje z grubsza, jak mało szanowana jest pozycja sprzątaczkę w naszym społeczeństwie. Sama nazwa zawodu wyraża przynależność do niższej warstwy społecznej.

Dlatego też właściwie nie lubię, kiedy ludzie nazywają mnie sprzątaczką. Nawet jeśli sama siebie tak określam. Ale to co innego.

Przy tym większość ludzi patrzy na ciebie z góry, jak gdybyś była człowiekiem drugiej kategorii.

Gdy informuję innych, co robię, wolę mówić „sprzątam” albo „pomagam w domu”.

To też odpowiada prawdzie, a brzmi lepiej niż „jestem sprzątaczką”.

Słyszając to, od razu wielu ludzi jest przekonanych, że się wyskoczyło z dolnej szuflady. Niektórzy jednak tak czy inaczej właśnie w ten sposób sobie myślą – w końcu jestem jeszcze do tego Polką.

Sprzątaczkami z zagranicy wydają się młodsze, niemieckie są raczej starsze. Typowa niemiecka sprzątaczką ma ponad trzydzieści pięć lat, afrykańska, turecka, chorwacka, portugalska czy polska często ma lat dwadzieścia. W Internecie pisze się, że wynika to z faktu, iż są to młode świadczeniodawczynie z ograniczonych gospodarczo krajów, te, które mają siłę, odwagę i wizję, by wybrać się do obcego kraju i zacząć od samych nizin. Z nadzieją na lepsze życie.

Coś takiego robi się raczej w wieku dwudziestu niż czterdziestu pięciu lat. Dwudziestoletnie kobiety z Niemiec nie marzą o tym, żeby sprzątać. Marzenia w Niemczech są inne.

Ale nie w Polsce – tam marzy się o karierze w kraju, który oferuje jakąś przyszłość.

Jeśli to oznacza sprzątanie, żaden problem. Przy czym Anglia jest obecnie dla Polaków znacznie atrakcyjniejsza niż Niemcy, ale to osobny temat.

Jedno jest pewne: bez względu na narodowość typowa sprzątaczką jest kobietą, która cieszy się niewielkim społecznym szacunkiem, zwłaszcza ze strony swoich pracodawców lub pracodawczyń.

## Jest pani aniołem

**G**dy szukam zleceń, zamieszczam ogłoszenie w gazecie. Ma zawsze tę samą krótką treść:

Szukam miejsca do sprzątnia i prasowania  
Tel.: 0178 275 780 78

To niewiele kosztuje, a wszystko mówi. Za dłuższe teksty musiałabym zapłacić dwadzieścia euro – a czasem zupełnie nikt nie dzwoni. Ale najczęściej odbieram dwa, trzy telefony. To wystarczy.

Nie zawsze jednak jest miło. Wielu ludzi nie życzy sobie w domu Polaków.

Nie mówią tego, oczywiście, wprost, nikt przecież nie chce być uważany za ksenofoba.

To należy do fasady.

Za nią rzecz wygląda inaczej, ponieważ często rozmowy przebiegają tak:

Dzwoniący: Dzień dobry, szuka pani pracy sprzątaczkii?

Ja: Tak, w istocie.

Dzwoniący: Skąd pani jest?

Ja: Z Polski.

Dzwoniący: Dziękuję, to nie ma o czym mówić.

Dzwoniący się rozłącza.

Ja: Idiota!

Gdy słyszą mój polski akcent, traktują mnie, jak gdybym właśnie wyszła z kicia! A nawet gdyby, to co!

Ludzie często nie uświadamiają sobie, że jako sprzątaczką też jestem człowiekiem.

Przykład.

Któregoś nadzwyczaj upalnego dnia myłam okna u pewnej młodej rodziny. Na zewnątrz było trzydzieści cztery stopnie w cieniu.

Lubię myć okna, bo bardzo mi przeszkadzają brudne szyby. I jest to naprawdę taka praca, za którą człowiek czuje się wynagrodzony, kiedy widzi, co się zmieniło – szyby są przejrzyste i widok doskonały.

Kiedy już doprowadziłam prawie całe mieszkanie do porządku i poprasowałam, pozostały mi jeszcze okna w kuchni.

W dużej, otwartej kuchni akurat siedziała matka i jej dwaj synowie, dziewięcio- i dwunastoletni, z babcią.

Ponieważ było tak gorąco, że człowiek ledwie się mógł ruszać, nie spływając potem, matka przygotowywała zimne napoje. Wyjęła kostki lodu z zamrażalnika, wycisnęła limonki do szklanego dzbanka i napełniła go lemoniadą.

Uznałam to za oznakę troski i już się cieszyłam na chłodne orzeźwienie. Dosłownie prawie czułam w ustach limonki, gdy ściereczką z mikrowłókien polerowałam okna.

Pot spływał mi strużkami po ramionach i skapywał na płytki podłogi w kuchni.

To nic, pomyślałam, później zetrę.

Jeszcze jedna szyba, potem będę się mogła w końcu czegoś napić.

Matka wyjęła szklanki z kuchennej szafki.

Dla każdego po jednej.

Było ich cztery.

Gdy matka, dzieci i babcia wypili swoją lemoniadę, dzbanek był pusty, a oni wyszli z kuchni.

Idąc na zacieniony taras, matka zaszczębiotała do mnie jeszcze przez ramię:

– A dzbanek może pani wstawić do zmywarki! Jest pani aniołem!  
Dziękuję!

Ja też dziękuję!

Nie, to jasne: sprzątaczkę nie odczuwają pragnienia, no i nie mają też innych potrzeb, to automaty do sprzątnięcia...

Gdzie człowiek uczy się czegoś takiego?

## Ma pani duży biust?

Zazwyczaj na moje ogłoszenia odpowiadają kobiety. Z pewnością dlatego, że wciąż jeszcze prowadzenie domu to kobiece zadanie.

Emancypantki mogą sobie mówić, co chcą. Nawet jeśli oboje partnerzy pracują, osobą, która mnie „zatrudnia”, jest kobieta.

Moimi zleceniodawcami są prawie zawsze panie domu.

Ale czasami dzwonią też mężczyźni. Wówczas zwykle chodzi o co innego.

Słysząc dzwonek komórki.

Ja: Halo?

On: Kto mówi?

Ja: Tak, musi się pan przedstawić. To pan zadzwonił.

On: To pani dała ogłoszenie w gazecie, że szuka sprzątaniam?

Ja: Tak, zgadza się. Potrzebuje pan kogoś do sprzątaniam?

On: Ewentualnie. A ile pani ma lat?

Ja: Trzydzieści jeden.

On: A skąd pani jest?

Ja: Z Polski, ale już od dziesięciu lat mieszkam w Niemczech.

On: Świetnie. Jest pani mężatką?

Ja: Tak. Dlaczego?

On: Ja też jestem żonaty.



Ja: Aha.

On: Jaką pani nosi bieliznę?

Ja: Słucham?

On: Czerwoną? Byłoby wspaniałe, gdyby nosiła pani czerwoną bieliznę...

Ja: NIE SZUKAM MIEJSCA DO PIEPRZENIA, TYLKO DO SPRZĄTANIA!!!

On: Ale ja dobrze płacę!

Ja: Perwersyjny idiota!

Rozłączam się.

Nie dałoby się wymyślić czegoś takiego. Przynajmniej co dziesiąta rozmowa przez telefon ma podobny przebieg.

Wygląda na to, że zamężna sprzątaczką w czerwonej bieliźnie jest fetyszem z marzeń, które pewni mężczyźni chętnie spełniliby po dziesięć euro za godzinę.

Jeszcze taniej wychodzi seks przez telefon.

Słysząc dzwonek komórki.

Ja: Halo?

On: Mmmh h h h m m m m j a a a a a a a!

Ja: Halo o o o?

On: Ach, ach, ach, h m m m m m m m, m m m m m m h h h h h h m m m m!

Ja: HALO?!?

On: M m m g g g n n n m m m m A A A A A A H H H H H H!

Ja: CHYBA BRAKUJE CI PIĄTEJ KLEPKI?!?

Rozłączam się.

Nic lepszego w tej sytuacji nie przychodzi mi do głowy. Próbuje przyjmować to spokojnie i z humorem. Tak po prostu jest.

Ale jeśli kobiety opowiadają z wyraźnym naciskiem, że ich mężowie zawsze są wierni, a one mogą im ślepo zaufać, przypominają mi się ci napaleni wydzwaniacze i myślę sobie: „Cóż, moja kochana, ręki nie dałabym sobie za to uciąć”.

Fasada jest niekiedy bez skazy, ale za nią nierzadko sperma klei się do ściany...

Jak u Franka z Kassel.

Niedawno dałam ogłoszenie do gazety, bo odstąpiłam dwa swoje adresy siostrze. Ona też sprząta, podobnie jak moja matka i ja.

Za akwizycję klientów w rodzinie odpowiadam ja.

Zgodnie z oczekiwaniami następnego dnia zadzwoniło kilku potencjalnych zleceniodawców. Między innymi pewien pan, który przedstawił się jako „Frank z Kassel” i od razu brzmiał bardzo miło.

Ja: Witaj, Frank.

On: Interesuje mnie pani w charakterze sprzątaczk.

Ja: Aha, cieszę się.

On: Często bywam na montażach w Wiesbaden-Biebrich i potrzebuję kogoś do mojego tamtejszego mieszkania. W domu sprząta żona, ale tam jej nie ma... Ha, ha, ha.

Ja: Jak duże jest to mieszkanie?

On: Tylko dwa pokoje, nie takie duże.

Ja: Naprawdę potrzebuje pan sprzątaczk? Właściwie nie miałabym nic do zrobienia... A i podróż musiałaby trochę kosztować, rozumie pan.

On: Nie, nie, dobrze zapłacę. Potrzebuję kogoś do sprzątnięcia raz w tygodniu. A potem jeszcze raz w tygodniu dodatkowo...

Ja: Dobrze.

On: Niech pani troszkę o sobie opowie, opisz się – tak zewnątrz.

Ja: Aach... No tak...

On: Jest pani spontaniczna?

Ja: Tak, owszem.

On: Ma pani duży biust?

Ja: Tak, ale to przecież wszystko jedno, jaki mam biust, jeśli przyjdę sprzątać!

On: A nie mogłaby pani przyjechać teraz i pokazać mi swojego

biustu?

Ja: Ach, haha... Ach... Nie mówi pan tego poważnie, prawda?

On: Dobrze zapłacę.

Ja: Nie! Takich rzeczy nie robię. Do usłyszenia!

On: PROSZĘ SIĘ NIE ROZŁĄCZAĆ! Uważam, że jest pani bardzo miła! Naprawdę dobrze zapłacę i nie musi pani ze mną niczego robić!

Ja: Nie onieśmiela mnie to wprawdzie, ale naprawdę nie mam ochoty.

On: Ale ja NAPRAWDĘ dobrze zapłacę!

Teraz ja chciałam się czegoś dowiedzieć.

Ja: A ile? On: Trzydzieści euro.

Ja: HAHAAHAHAHAHAHAHAHHHHHAAAA!!!

On: Za każdym razem!

Ja: Żartujesz!

Rozłączyłam się.

Nie wiem, co bardziej mnie oburzyło, ten prostacki podryw czy kwota.

Tak czy owak, po prostu nie mam żadnego pomysłu, co skłania mężczyzn do tego, by na zupełnie niedwuznaczne ogłoszenie w gazecie reagować tak, jak gdybym się przed nimi nago przeciągała na sofie.

Może czasem, tak sobie myślę, udaje im się tym sposobem uzyskać to, czego chcą. Być może młode kobiety potrzebują tych pieniędzy albo uważają to po prostu za ekscytujące.

Ale czym to się różni od prostytutki?

Nie mam nic przeciwko kobietom, które decydują się zarabiać w ten sposób pieniądze. I współczuję tym, które muszą to robić. Ale do moich planów życiowych i zawodowych to zupełnie nie pasuje.

Sprzątanie nago – i to jeszcze za trzydzieści euro – po prostu uważam za denne.

To pokazuje, jak niektórzy mężczyźni traktują zagraniczne

sprzątaczkę: jak tanie obiekty seksualne, służące do zaspokajania ich potrzeb.

W odpowiedzi na ogłoszenie o treści „Szukam roweru” albo „Szukam stałej pracy jako wyspecjalizowana sprzedawczyni na stoisku mięsnym” rozmowy telefoniczne pewnie przebiegałyby inaczej.

Gdyby zgłosiła się jakaś Niemka, pewnie też.

Chociaż... kto wie, człowiek w tym nie siedzi...

Ale historia ma ciąg dalszy: kilka dni później znów usłyszałam dzwonek komórki; akurat pracowałam.

On: Halo, to ja. Frank!

Ja: Czego jeszcze chcesz? TO NIE WCHODZI W RACHUBĘ.

Powiedziałam ci to już kilka dni temu!

Ale Frank miał w zanadrzu więcej propozycji...

On: Tak, ale co by było, gdybyś mi się przypatrywała, jak walę sobie gruchę?

Ja: O BOŻE! KOMPLETNIK ZEŚWIROWAŁEŚ? NIGDY WIĘCEJ DO MNIE NIE DZWOŃ!!!

Potem wyłączyłam komórkę.

## Misja sprzątaczeki

**N**ie opowiadam moich przeżyć, żeby szokować. Nie jestem kobietą, która przesadza i dramatyzuje. Chodzi mi raczej o to, by pokazać rzeczywistość taką, jaka jest.

A nie taką, jaką chcielibyśmy, by była.

Bo to właśnie przywilej sprzątaczek: zaglądamy za kulisy. W ciemne kąty. Pod łóżka. Ludzie dopuszczają nas bardzo blisko. Wpuszczają do prywatnych pomieszczeń. Tam, gdzie nikt inny nie ma prawa wejść. Na dłuższą metę nikt nam niczego nie wmówi.

My, sprzątaczkki, jesteśmy kimś więcej niż służącymi, jesteśmy świadkami i strażniczkami prawdy.

I o niej właśnie chciałabym opowiadać.

W końcu rozświetlić ciemność. Otworzyć drzwi do sfery prywatnej. Chciałabym w ten sposób zwrócić uwagę na często trudną sytuację moich koleżanek. To, o czym piszę, przeżywamy wszystkie w takiej lub innej formie.

Bycie sprzątaczką to nie bułka z masłem – w dodatku gdy się jest obcokrajowcem. Mam nadzieję, że stosunki pomiędzy sprzątaczkami a ich zlecniodawczyniami staną się lepsze. Bardziej ludzkie.

Poza tym chciałabym ulżyć moim czytelniczkom i czytelnikom.

Uważam mianowicie, że to bardzo rozluźnia, jeśli można zobaczyć prawdę za fasadą.

Często bowiem uważamy, że nie możemy być tak perfekcyjni jak nasi przyjaciele, krewni lub koledzy. Taka wspaniała rodzina, cudowne dzieci, taki wierny mąż, tyle sukcesów w pracy, tyle pieniędzy, tyle szczęścia...

Możecie mi jednak wierzyć: za fasadą ziele taka sama otchłań jak u nas wszystkich.

Te same lęki, te same kłótnie. Ciemne popędy, skazy i rozłamy.

Ta wiedza przynosi ulgę.

Gdy znów pokłóciłam się z mężem, mam kłopoty finansowe albo wkurza mnie matka. W całym tym szaleństwie, które czasem niesie życie, wiem, że jestem normalna – ponieważ w gruncie rzeczy wszystkim nam idzie mniej więcej podobnie. A niektórym o wiele gorzej.

Być może to brzmi śmiesznie, ale odkąd sprzątam, żyję na większym luzie. To również przywilej sprzątaczkki.

Ale dobrze też robi mi to, że mogę opowiedzieć swoją historię. Pomaga mi przemyśleć, przepracować różne rzeczy.

Często próbuję „wysmiać” z siebie wszystko z dużą dawką humoru. Z biegiem lat zauważam jednak, że wciąż coś z tego upodlenia, które wiąże się z moją sytuacją, do mnie przywiera.

Nie zawsze, prawie niezauważalnie, ale na dłuższą metę wyczuwalnie.

I kiedy tak opowiadam, mnie samą dziwi, że po wszystkich tych latach czasem jeszcze przebija się oburzenie i smutek.

Z tym się nie liczyłam.

Ale niektóre przeżycia najwyraźniej ranią bardziej, niż człowiek chciałby przyjąć do wiadomości.

Możliwość opowiedzenia o tym pomaga mi pracować dalej. Za tę możliwość jestem wam, droga czytelniczko, drogi czytelniku, bardzo wdzięczna.

Wasze zainteresowanie upewnia mnie w tym, że to dobrze, że moja historia została opowiedziana.

Ponieważ obraźliwe rzeczy, o których się nie powiedziało, kiszą się

w człowieku i wytwarzają trujące opary, które go kiedyś uduszą.

Chciałabym tą książką również dodać innym odwagi do opowiadania. Chciałabym uświadomić, w jakiej opresji są sprzątaczkі w kraju, który pod wieloma względami jest cudowny, ale ma też swoje ciemne strony.

Byłoby pięknie, gdybym mogła się trochę przyczynić do tego, by traktowano sprzątaczkі bardziej po ludzku, bo są przecież ludźmi. Może nawet jak inteligentne, odważne, zaradne kobiety, które twardo stoją obydwoma nogami na ziemi i nie spada im z głowy korona od usuwania brudu obcych ludzi po to, by stworzyć sobie jakieś perspektywy na przyszłość i móc żyć własnym życiem.

Uważam, że przecież można spróbować trochę naprawić świat. Bo jeśli każdy choć odrobinę się do tego przyczyni, świat się zmieni. Jedna kropla to jeszcze nie cały ocean, ale bez tych kropli nie byłoby morza.

Małeńki kawałek lepszego świata – w to chciałabym wnieść swój skromny wkład.

Mam nadzieję, że uda mi się tą drogą i w tej formie. Bo innych możliwości nie mam.

Panie Merkel i panowie Obamowie tego świata mogą zmienić wiele.  
Ale ja jestem tylko sprzątaczką.

## Interludium

À propos: Frank nie potrafił się zamknąć. Akurat czyściłam srebra u pewnego emerytowanego adwokata. Jego żona siedziała obok mnie i nie mogłam swobodnie rozmawiać. Usłyszałam dzwonek komórki...

Ja: Halo?

On: Tak, halo, tu Frank. Witaj, jak leci? Wiesz, kim jestem?

Ja: Tak, wiem, kim jesteś.

On: Ty, słuchaj, zastanawiałem się. Może wtedy podałem za niską cenę. Chętnie bym cię poznał.

Ja: Ale ja nie chcę. Czego właściwie ode mnie chcesz?

On: Ale zastanów się nad tym jeszcze raz. W weekend jadę na dwa tygodnie do domu, do żony. Później znów zadzwonię.

Ja: Nie dzwoń.

On: Zadzwonię.

Rozłączyłam się. Wiem, po prostu nie powinnam odbierać, ale jestem ciekawa, co mi zaproponuje następnym razem.

Oceniam, że czterdzieści euro to jego limit.



Dla takiej kwoty w ubiegłym tygodniu jakiś nieznany sprawca zabił pewną starszą damę. Zobaczymy, czy też wyżej wyceni moje piersi...

Świat oszalał!

## Przełom

Czasem nagle do człowieka dociera, co jest już dłużej nie do wytrzymania.

Ja znalazłam się w takim punkcie, gdy wróciłam z urlopu nad Bałtykiem w Gdańsku do mojego rodzinnego miasta, Poznania. Wyjazd był miły, ale nic się nie wydarzyło.

Nie mogę sobie dziś przypomnieć niczego, co tam robiłam albo przeżyłam. Nie wiem już nawet, z kim byłam.

Za to wciąż dokładnie pamiętam moment, kiedy znów stałam w domu, w moim pokoju, i nagle – jakby mnie trafił grom z jasnego nieba – stało się dla mnie jasne: muszę stąd wyjechać!

Skończyłam akurat dwadzieścia jeden lat i nie chciałam spędzić życia w Polsce. W żadnym wypadku nie chciałam skończyć jak moja matka. Rodzice mieli wówczas w Lesznie sklep z konfekcją, w którym jako dziecko dużo pomagałam.

Lubiłam układać ubrania tak, żeby na regałach wszystko porządnie wyglądało; do dziś sprawia mi przyjemność, gdy po pracy jeszcze raz przechodzę przez posprzątane pomieszczenia, a moje spojrzenie szybuje po całym tym porządku. Dobrze mi z tym.

Wierzę, że wielu ludzi, dla których sprzątam, zazdrościłoby mi, gdyby sobie uświadomili, że kiedy skończę pracę, zawsze można dostrzec efekt.

Nie każdy doświadcza tego w swojej pracy.

To kolejny z przywilejów, które mamy my, sprzątaczk.

Zawsze, odkąd pamiętam, chciałam zrobić ze swoim życiem coś szczególnego, coś, co sprawi mi radość. I tego dnia w sierpniu 1998 roku, gdy akurat stałam na środku swojego pokoju, zdecydowałam się opuścić ojczyznę.

Nie wahałam się ani chwili.

Potajemnie wzięłam gazetę ojca z kuchennego stołu. Nie chciałam nikogo niepokoić, a i na niekończące się rozmowy z rodzicami nie miałam ochoty. W części ogłoszeniowej tej gazety, nazywała się „ABC”, znalazłam anons, który pamiętam, jakby to się zdarzyło wczoraj; było tam napisane wytluszczonymi dużymi literami:

**CHCESZ POZNAĆ INNY KRAJ, INNYCH LUDZI I INNĄ  
KULTURĘ?  
ZADZWOŃ!**

Podany numer telefonu zaczynał się od cyfr 0049. Wiedziałam: to połączenie do Niemiec. Tamto ogłoszenie tak dokładnie wbiło mi się w pamięć, bo zapowiadało spełnienie moich marzeń – odtąd wszystko miało być inaczej. Wszystko miało być nowe.

Byle tylko nie skończyć jak matka w jakimś sklepie z konfekcją w Lesznie. A dziś matka mieszka cztery ulice ode mnie również w Niemczech. Okazało się, że jej też się nie podoba jej życie. Ale to osobna historia do opowiedzenia innym razem.

Nie zwlekałam ani chwili i wybrałam podany numer z naszego stacjonarnego telefonu. Komórki wprawdzie już wtedy istniały, również w Polsce, ale nie dla mnie.

W słuchawce usłyszałam trzaski.

Już chciałam ją odłożyć, gdy w końcu po jakimś czasie rozległo się obco brzmiące dudnienie, coś dzwoniło.

Przestraszyłam się. Nie znam przecież niemieckiego.

Co miałam powiedzieć, jeśli na drugim końcu ktoś się zgłosi,

mówiąc *Guten Tag*? To było wszystko, co umiałam po niemiecku – oprócz słów takich jak „tak”, „nie” i „okno”. W szkole uczyliśmy się wówczas tylko rosyjskiego, znalazłam więc sobie prywatnego nauczyciela, który uczył mnie niemieckiego. Ale najwyraźniej nie zaszliśmy za daleko.

Nie mam pojęcia, dlaczego z tej nauki niemieckiego zapamiętałam akurat „okno”. Czy to był znak, że zostanę sprzątaczką?

Los miewa poczucie humoru.

Z drugiej strony ktoś podniósł słuchawkę.

Kobiety głos zapytał: „Halo?”.

Poczułam ulgę: Polka!

Przedstawiłam się krótko i opowiedziałam jej, że przeczytałam to ogłoszenie w „ABC”. Interesuje mnie, co się za nim kryje.

Potwierdziła, że w wypadku tego „innego kraju” chodzi o Niemcy. Pośredniczyła w programie Au Pair. Chodziło konkretnie o rodzinę z dzieckiem w mieście Offenbach.

Szukali pomocy domowej z Polski.

Opiekowałabym się dzieckiem i pomagała w pracach domowych.

Za czterysta marek miesięcznie.

Rodzina opłacałaby za mnie ubezpieczenie i szkołę. Poza tym mieszkałabym, spała i jadła u nich.

Niestety, ta rodzina była akurat na urlopie w Egipcie; dlatego kobieta nie mogła mi jeszcze powiedzieć niczego pewnego.

Powinłam też przysłać pisemną aplikację ze zdjęciem, potem do mnie oddzwoni.

Podczas rozmowy okazało się poza tym, że ta kobieta pochodzi ze wsi w pobliżu mojego miejsca zamieszkania i już przed laty wyemigrowała do Niemiec.

Budziła zaufanie i wydawała się poważna. Obiecałam jej zatem, że jeszcze tego samego dnia przygotuję aplikację, pożegnałam się i odłożyłam słuchawkę.

Offenbach!

Natychmiast pobiegłam do regału z książkami. Stał tam stary atlas,

który pospiesznie wyciągnęłam. Szybko znalazłam Niemcy i zaczęłam szukać tego nieznanego miasta.

Nie potrzebowałam wiele czasu, żeby je odnaleźć.

Moje serce podskoczyło. Offenbach leżał tuż obok Frankfurtu! A to brzmiało dla mnie wtedy jak „Ameryka”, jak „otwarty, szeroki świat”. Koniecznie chciałam tam jechać!

Byłam tak podekscytowana, że od razu zaczęłam pisać aplikację.

Następnego dnia wysłałam tej kobiecie moje dokumenty.

Potem musiałam poczekać dwa tygodnie na odpowiedź.

To był straszny czas. Zastanawiałam się sporo nad tym, czy jestem dostatecznie dobra do tej pracy, czy mnie zechcą i jak by to było dobrze. Ale nigdy nad tym, czy moja decyzja o wyjeździe jest właściwa. To było dla mnie zawsze oczywiste.

I jest do dziś.

W trzecim tygodniu przyszła wiadomość: rodzina się zgodziła.

Polka zadzwoniła do mnie osobiście i przekazała mi tę radosną nowinę.

Później opowiedziała o rodzinie: żona była stewardesą, mąż handlował antykami. Mieli córkę. Bardzo się cieszyłam i byłam niewiarygodnie podniecona. W końcu wynoszę się z Polski!

Niemcy!

Ten czysty, porządny kraj, w którym żyło się tak nowocześnie. Z wolnością i perspektywami. Tam, gdzie świat stał przede mną otworem.

Mury rodzicielskiego sklepu z konfekcją rozplynęły się w powietrzu. Byłam wolna, a przede mną rozciągała się długa, daleka droga, która gubiła się gdzieś w nieskończoności.

To było cudowne uczucie. Nie mogłam się doczekać, by zacząć biec.

Zarazem jednak się bałam. Bo wiedziałam, że wiele kobiet z Polski wysyłano do Niemiec, by potem pracowały w burdelach jak niewolnice.

Bez paszportu w obcym kraju. Bez wolności. Bez przyszłości. Zdane na czyjąś łaskę.

Próbowałam się uspokoić. Polka, której nazwiska dotychczas nie

znałam, robiła dobre wrażenie. Była przyjazna i starała się. Jeśli coś obiecywała, dotychczas dotrzymywała słowa.

Nie miałam żadnego powodu, by jej nie ufać. Intuicja podpowiadała mi, że ryzyko jest na tyle małe, by warto było spróbować. Ale nie pozbyłam się do końca lęku.

Później cieszyłam się z tego, bo mała siostrzyczka lęku nazywa się ostrożność.

A ta chroni przed zagrożeniami.

Ta cnota miała mi się jeszcze bardzo przydać.

## Gargamel i smerfy

3 października 1998 roku wyruszyłam w drogę do Niemiec.

W domu spakowałam torbę. Włożyłam do niej też list miłosny od mojego chłopaka. Pożegnanie nie było spektakularne. Objęliśmy się, nie roniąc łez, i obiecaliśmy sobie, że będziemy do siebie pisać i często rozmawiać przez telefon.

Oprócz listu miłosnego wcisnęłam do walizki wszystkie zimowe rzeczy, które się zmieściły.

Niemcy to zimny kraj.

Wieczorem musiałam najpierw dojechać pociągiem do Wrocławia.

Pożegnanie na dworcu przyszło mi bez trudu. Czułam tylko, że będę bardzo tęsknić za moją małą siostrzyczką.

Jest ode mnie dziewięć lat młodsza.

Byłyśmy sobie bardzo bliskie i tak pozostało do dziś.

Ojciec poprosił mnie jeszcze, żebym zadzwoniła od razu, jak dojadę. Potem drzwi się zamknęły, pociąg ruszył. Rodzina machała mi na pożegnanie, aż straciłam ich z oczu.

Odwrociłam się i już nie oglądałam za siebie.

Cel był przede mną: Niemcy!

Jechałam w nieznane. I byłam ciekawa. Co mnie czeka? Czy mnie polubią? Co powinnam powiedzieć, gdy się spotkamy? Wciąż te same pytania bez odpowiedzi.

Musiałam po prostu poczekać na rozwój wypadków. „Co będzie, to będzie” – powiedziałam sobie i postanowiłam przerwać to błędne koło. Zupełnie dobrze sobie z tym poradziłam. Ta siła woli do dzisiaj wciąż bardzo pomaga mi w życiu i jestem za to wdzięczna; nie marnotrawię energii.

Z Wrocławia autobus jechał bezpośrednio do Offenbach. To było wprawdzie tylko 730 kilometrów – ale dla mnie oznaczało podróż w daleki świat. W autobusie było pustawo, miałam więc dwa miejsca dla siebie. Nie mogłam spać, ale wspomnienia z tej podróży zblakły.

O piątej rano dojechaliliśmy na dworzec autobusowy w Offenbach.

Byłam umówiona, że odbierze mnie tam „pewien pan”, który będzie miał moje papiery ze zdjęciem. Nic więcej nie wiedziałam.

Gdybym dziś miała wyruszyć w tę samą podróż, nie polegałabym na tak mało precyzyjnych ustaleniach. Upewniłabym się przynajmniej co do nazwiska polskiej pośredniczki i ustaliła nazwisko człowieka, który mnie odbierał. Wzięłabym jego adres i numer telefonu na wypadek, gdybyśmy się minęli.

Ale wtedy nawet nie przyszło mi do głowy, że powinnam to wszystko wiedzieć. Byłam taka naiwna. I teraz stałam na dworcu autobusowym w mieście, którego nie znałam, w kraju, którego językiem nie mówiłam. Pierwszy raz z dala od domu. Było ciemno, a ja byłam sama. Żadnego mężczyzny w zasięgu wzroku.

Czekałam.

Wszyscy inni przyjezdni już dawno zniknęli.

Zrobiło się wpół do szóstej.

Po kolejnej półgodzinie podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zagadnął.

Nie rozumiałam ani słowa.

Wyciągnął z kieszeni moje zdjęcie. Próbowaliśmy się porozumieć, używając rąk i nóg.

To był ów handlarz antykami.

Mężczyzna miał długie jasne włosy. I był stary – o wiele starszy, niż sobie wyobrażałam.



„Wygląda jak jasnowłosa wersja obrzydliwego czarownika Gargamela ze *Smerfów!*” – przemknęło mi przez głowę.

Do dziś nazywam go Gargamelem, gdy o nim opowiadam.

Ale przyjechałam tu nie po to, żeby spotkać mężczyznę, który mi się podoba, tylko by zebrać ekscytujące doświadczenia. I Gargamel doskonale pasował do tej koncepcji.

Wsiedliśmy do taksówki. Dziwiłam się, że Gargamel nie ma samochodu, ale może tak się robi w Niemczech.

Wciąż jeszcze było ciemno i nie bardzo mogłam obejrzeć sobie miasto.

Przyszło mi tylko do głowy, że wszystko jest takie nowe i w dobrym stanie. Fasady domów czyste, na ulicach żadnych dziur. Wszędzie rośliny i rabatki. Samochody przed domami były drogie i wyglądały na nowiutkie.

Ale gdy dojeżdżaliśmy do mojego nowego domu, poczułam chłód przerażenia we wszystkich członkach: to był upiorny dom!

Ten stary budynek wyglądał jak nawiedzony zamek. Jak gdyby grasowały tu nocą dusze kilku pokoleń. A okazało się, że jest jeszcze gorzej: wewnątrz był pomalowany na krwistoczerwony kolor, wszędzie wisiały portrety ludzi, którzy na pewno od dawna już nie żyli. Ściany były wyłożone ciemnym drewnem, schody skrzypiały, a balustrady dawno spróchniały. Ogarnęło mnie śmiertelne przerażenie.

Ale nie dałam po sobie nic poznać. Chciałam być dzielna. Wiedziałam przecież, że czekają mnie zupełnie nieznanne przeżycia. Teraz więc musiałam sobie poradzić.

Dzisiaj wiem, że trafiłam do najbogatszej okolicy w Offenbach; do tak zwanego Westendu, gdzie miasto niemal niezauważenie przechodzi we Frankfurt. Stoi tam wiele takich nawiedzonych willi.

Dziś nie chciałabym za nic mieszkać w starym budownictwie. Od tamtego momentu wchodzi dla mnie w rachubę tylko nowe budynki.

Ale tak jest dzisiaj, a tamto było wtedy.

Gdy odstawiłam walizkę, poszliśmy do kuchni i usiedliśmy przy chybotliwym stole. Gargamel do mnie mówił. Powtarzało się przy tym

imię Magdalena i stało się dla mnie jasne, że nosi je ta Polka, która mnie tu przysłała.

Potakiwałam tylko na wszystko, co mówił.

Później pokazał mi mój pokój na poddaszu. Pierwszy raz od wielu godzin poczułam ulgę. Był przytulny.

Gargamel zapytał, czy chcę spać, składając dłonie i przykładając je do skroni, z przechyloną głową. Międzynarodowy gest oznaczający spanie. I tym razem mogłam odpowiedzieć po niemiecku.

Zachwycona przytaknęłam: „JA!”.

Pokój miał dostatecznie dużą łazienkę i łączył się z małą kuchenką, która jednak nie była używana – własne mieszkanie pod dachem.

Mogłam sobie wyobrazić, że mieszkam tu przez rok, chociaż dom mnie przerażał. Zasnęłam z mieszanymi uczuciami.

## Przebudzenie

Około południa obudziłam się i zesłam na dół.

Gargamel siedział już przy kuchennym stole. Dziko wymachując rękami, dał mi do zrozumienia, że jego żona ma dziś urodziny.

Zdziwiło mnie, że jej tu nie było; u nas małżonkowie świętowali swoje urodziny wspólnie z rodziną i przyjaciółmi. Ale może w Niemczech jest inaczej, pomyślałam.

Gargamel nadal do mnie mówił. Chciał mi coś wyjaśnić. Zmrużyłam oczy i próbowałam interpretować jego gesty i ton głosu.

W którymś momencie dotarło do mnie: żona już z nim nie mieszkała. Wyprowadziła się z dzieckiem do własnego lokum.

Rozstali się przed kilkoma laty.

Byłam zmieszana.

Magdalena opowiadała mi przecież o rodzinie. Pod tym pojęciem wyobrażałam sobie wszystko, tylko nie dziwaczego singla w zamku upiorów. Miałam nadzieję, że wszystko źle zrozumiałam, i przysłuchiwałam się jeszcze dokładniej.

Powoli wkradał się we mnie lęk, że osiadłam na mieliźnie w obcym kraju. Słyszałam tak wiele złych historii o kobietach, które zmuszano do brania narkotyków i do prostytucji.

Wszystkie przyjeżdżały do Niemiec z nadzieją na nowe, wolne życie – a potem ani widu, ani słyhu. A co, jeśli coś takiego przydarzy się

i mnie?

Postanowiłam nie panikować. Kolejna zasada, którą wcześniej wzięłam sobie do serca w życiu. Wykluczam wówczas lęk i staram się patrzeć na sytuację pragmatycznie. Zawsze jest jakieś wyjście.

Ale najpierw zrobiło się jeszcze groźniej.

Gargamel wstał, podszedł do mnie, wziął mnie za rękę i pociągnął na korytarz.

Moje serce dziko waliło, ciało się napięło, żeby przygotować się do ucieczki.

Byłam zdana na tego mężczyznę.

Teraz pewnie zaciągnie mnie do sypialni i...

Skamieniałam ze strachu.

Ale zamiast ruszyć schodami na górę, podeszliśmy do drzwi wejściowych. Gargamel je otworzył i stanęliśmy w jasnym świetle słońca. Moje ciało nagle się odprężyło.

Na ulicy byli ludzie. Tu nie mogło mi się nic stać.

Pociągnął mnie za rękę do swojego samochodu, zaparkowanego na jezdni.

Znów ogarnął mnie strach.

Dokąd chce mnie zabrać? Przez głowę przelatywały mi wszystkie możliwe scenariusze. Czego w ogóle chce ode mnie ten obcy mężczyzna? Dlaczego Magdalena mnie nie ostrzegła? Powinnam uciekać?

Ale Gargamel zaczął przemawiać do mnie uspokajająco. Uśmiechał się. Nie wyglądał na gwałciciela.

A może?

Skąd miałam wiedzieć, jak wygląda gwałciciel? Byłam wówczas taka niedoświadczona. Dzisiaj z pewnością umiałabym lepiej ocenić sytuację.

Wtedy czułam się śmiertelnie przerażona.

Wsiedliśmy do samochodu i Gargamel ruszył.

Patrzyłam na stare wille, które mijaliśmy, ale ze strachu zupełnie nie byłam w stanie docenić ich wytwornego piękna.

Zagubiłam się pomiędzy zamkami duchów w tym obcym kraju.

Samochód stanął w bocznej uliczce. Wyszliśmy. Gargamel zadzwonił do wielorodzinnego domu, z głośnika usłyszałam kobiecy głos.

Kamień spadł mi z serca.

Drzwi się otworzyły i weszliśmy po schodach, na piąte piętro, aż pod dach. Wszystko było tu jasne i czyste.

Na górze, w otwartych już drzwiach mieszkania, stała kobieta, do której najwyraźniej należał głos. Przywitała nas, po czym przedstawiła mi się chłodno i bez uśmiechu. Na imię miała Birgit.

Nagle zrozumiałam: to była pani Gargamelowa, która miała dziś urodziny.

Niewiarygodnie mi ulżyło.

Mimo dystansu w sposobie bycia tej kobiety, z radością weszłam do jej mieszkania. Było zupełnie inne niż ten ciemny, stary dom Gargamela: ściany białe, podłoga z jasnego drewna, urządzone w lekkich, ciepłych kolorach ziemi.

Wszędzie piękne poduszki, narzuty, wazon, świece i rośliny. Widać było, że mieszka tu kobieta. Duże okna wpuszczały do środka dzień. Podobało mi się tutaj.

Birgit pracowała jako stewardesa; wyjaśniła mi, że właściwa niemiecka nazwa jej zawodu brzmi „Flugbegleiterin”. Na czas pracy oddawała Alexandrę, ich dziecko, do Gargamela. Moje zadanie miało więc polegać na opiekowaniu się Alexandrą, gdy była u ojca.

Tyle zrozumiałam.

Obydwoje rodzice, pogrążeni w rozmowie, wycofali się do kuchni i pozostawili sprawy – czyli mnie – własnemu biegowi.

Alexandra schowała się za sofą od razu, gdy tylko zobaczyła mnie w drzwiach. Nie dało się jej stamtąd wyciągnąć żadnymi, nawet najsympatyczniejszymi, namowami.

Postanowiłam więc trochę się rozejrzeć i zobaczyć pokój dziecienny. Wprawdzie byłam nieco zaskoczona mnóstwem zabawek, ale w końcu nie różnił się on tak bardzo od mojego dawnego pokoju: ściany

pomalowane na różowo, szafa, stolik i łóżko.

Alexandra miała siedem lat. Mieszkała tu mała księżniczka. Pod każdym względem.

Później zjedliśmy obiad. Byłam szczęśliwa. Mięso, ziemniaki i sałata. Jak w Polsce.

Gdy wychodziliśmy, mała wciąż siedziała za sofą.

Mogło być zabawnie.

## Queen Alexandra

Cztery dni po moim przybyciu i nieporadnym spotkaniu zapoznawczym z nową „podopieczną” Gargamel oświadczył, że następnego dnia leci ze swoją byłą żoną, stewardesą, czyli Flugbegleiterin, na kilkudniowy urlop.

Będę z dzieckiem skazana wyłącznie na siebie.

Nie tylko ja zostałam w ten sposób brutalnie wrzucona na głęboką wodę. Również Alexandrę rodzice po prostu zostawili samą z jakąś kompletnie obcą dwudziestojednolatką.

Mieli stalowe nerwy.

Polecono mi, by budzić Alexandrę tuż przed siódmą, ubrać ją i uczesać. Zrobić śniadanie i odprowadzić małą do szkoły. Na szczęście znała drogę, bo ja nie miałam pojęcia, gdzie mam ją zostawić.

Pierwszego dnia w drodze powrotnej tak zabłądziłam, że musiałam do domu pojechać taksówką. Luksus, na który nieczęsto mogłam sobie pozwolić.

Dlatego następnego ranka namalowałam sobie po drodze do szkoły mapę ze wszystkimi skrętami i nazwami ulic.

Pomogło.

Po odprowadzeniu Alexandry do szkoły wracałam do domu, sprzątałam, zmywałam i pucowałam. O 13.00 musiałam odebrać Alexandrę ze szkoły.

Gotowałam obiad. Potem pilnowałam, żeby odrobiła lekcje, i bawiłam się z nią aż do czasu, kiedy trzeba było przygotować kolację i iść spać.

Zwykła, codzienna rutyna. Jeśli się ma dzieci. Ale ja nie miałam i czułam się, jak gdyby ktoś, przejeżdżając obok, podrzucił mi pod drzwi małą księżniczkę przed okresem dojrzewania, która mnie nienawidziła, ponieważ nie potrafiłam zastąpić jej matki.

A ta była akurat na urlopie.

Alexandra była męczącym dzieckiem. Zawsze gdy ją budziłam, krzyczała:

– Odpierdol się, głupia dupo!

Ale to nic, bo nie miałam pojęcia, co to znaczy. Myślałam, że jest po prostu w złym humorze. Dopiero po miesiącach zrozumiałam znaczenie jej słów. Wypowiadała je dostatecznie często.

Po drodze do szkoły chwytiała się pacholków i wrzeszczała:

– Ty świniu, ty locho, ty kurwo, nie idę dalej!

Na przystanku autobusowym naprzeciwko wszyscy się gapili, ale ja przecież nie wiedziałam dlaczego, bo nie rozumiałam tych wyrażeń. Po prostu ciągnęłam ją za sobą do szkoły.

To była mała diablica!

Dziś myślę, że to biedne dziecko było jeszcze bardziej zdezorientowane niż ja. Rodzice rozwiedzeni, ale właśnie razem na urlopie, i ta śmieszna obca kobieta trzymająca ją za rękę!

Nic dziwnego, że Alexandra się bała i była wściekła.

Dziś żal mi Alexandry.

Ale wtedy chętnie wyrzuciłabym ją do zsypu na śmieci.



## O stosunkach i warunkach

W końcu Gargamel wrócił. I szybko zdemaskował się jako jeden z tych pryncypałów, którzy prowadzili styl życia, na jaki w istocie w ogóle nie mogli sobie pozwolić.

To również forma podwójnej moralności: z wierzchu pachnie dobrobytem, a w środku tynk odpada ze ścian.

Magdalena powiedziała, że Gargamel handluje antykami. Ale nigdy nie wychodził do pracy i właściwie zawsze siedział w domu. I był zupełnie splukany. Odziedziczył po matce tę willę, a w niej trochę antyków, z których kilka od czasu do czasu udawało mu się sprzedać.

Tego, że matka Gargamela właściwie nie umarła, jak zakładałam, tylko cieszy się dobrym zdrowiem, dowiedziałam się w dość dramatyczny sposób pewnego zimowego wieczoru. Pan domu wyszedł i polecił mi nikogo nie wpuszczać. „Absolutnie nikogo”.

Siedziałam akurat z Alexandrą przy kuchennym stole, malowałyśmy. Na zewnątrz było ciemno. Usłyszałam pukanie do okna.

Do środka zaglądała blada twarz. Niemo otwierała usta.

Ze strachu omal nie spadłam z krzesła.

Alexandra zawołała:

– To babcia!

Nie wiedziałam, co robić. Nie wolno mi było nikogo wpuszczać. W końcu szybko zgasiłyśmy światło w kuchni, zamknęłyśmy drzwi

i poszłyśmy na górę.

Potem już nikt nie pukał ani nie dzwonił. Do dziś nie wiem, czego babcia chciała.

Prawdopodobnie zastopować wyprzedaż swojego domu.

W każdym razie mieszkała w Aachen, jak się później dowiedziałam, a droga stamtąd była daleka. Musiało więc chodzić o coś ważnego.

Gdy Gargamel wrócił, Alexandra opowiedziała mu o wizycie starszej pani. Zareagował w sposób opanowany:

– Ta starucha ma przecież klucz. Była tu, gdy spałyście.

I temat był dla niego zamknięty.

Chętnie dowiedziałabym się, co zaszło pomiędzy tymi dwójkiem. Wyraźnie nienawidzili się na śmierć i życie.

Ale bez względu na to, o co chodziło, nie przeszkadzało mu to w opychaniu wyposażenia willi. A to obraz olejny, a to srebrna patera. To jednak nie starczało na wszystko.

Gdy raz mój ojciec przyjechał z Polski, by mnie odwiedzić, musiał wozić Gargamela, bo ten w międzyczasie zastawił samochód. To było dla mnie straszne, ponieważ w Polsce gościnność jest jedną z najważniejszych cnót. Lepiej się zadłużyć, niż potraktować gościa inaczej niż po królewsku.

Zdegradowanie go do roli szofera byłoby nie do pomyślenia.

Ale dla Gargamela nie stanowiło to problemu.

Lodówka prawie zawsze stała pusta. Niewiele było do jedzenia. Ale ważne, by w domu była dziewczyna *au pair*...

Moje zadanie polegało na tym, by z tego, co jeszcze gdzieś zalegało, ugotować coś nadającego się do spożycia.

Dlatego prawie zawsze robiłam naleśniki, bo mąka i jajka zazwyczaj były pod ręką. Żadnego sera, żadnej kiełbasy, żadnych owoców.

Ryż na mleku, który chciałam raz wziąć z lodówki, musiałam odstawić.

– To dla Alexandry – zadysponował Gargamel.

Tylko kiedy Gargamel znów sprzedał obraz, można było zrobić zakupy. Ale to zdarzało się najwyżej raz w miesiącu.

Byłam wciąż głodna i pilnie potrzebowałam pomocy.

Tydzień po moim przyjeździe odwiedziła nas Magdalena.

Chciała zobaczyć, jak mi idzie.

Wtedy dowiedziałam się, że była moją poprzedniczką, gdy Gargamel i Birgit funkcjonowali jeszcze jako małżeństwo.

Dobrze zrobiło mi słuchanie ojczystej mowy i płynne wyrażanie myśli.

Magdalena była trochę zdystansowana, ale na koniec zaproponowała, żebym zadzwoniła, gdybym czegoś potrzebowała.

Opowiedziała, jak miła jest ta rodzina, i wyraziła przekonanie, że „z pewnością nigdy nie będę żałować”, że tu przyjechałam.

Nie miała pojęcia...

Gdy kiedyś znów byłam strasznie głodna, skorzystałam z jej propozycji i w rozpaczce zadzwoniłam. Rozmowa przebiegała mniej więcej tak:

Ja: Magdaleno, jestem taka głodna!

Ona: To zjedz coś.

Ja: Nic nie ma. Lodówka jest ciągle pusta.

Ona: To śmieszne; jak u nich pracowałam, zawsze było coś do jedzenia.

Ja: Być może, ale wtedy jeszcze Birgit była w domu.

Ona: Daj spokój, przesadzasz. Przecież musi być coś do jedzenia.

Ja: Nie, jedynie trochę mąki i dwa jajka. To wystarczy tylko dla Alexandry. Co mam zrobić?

Ona: Taaa... Poradzisz sobie. Muszę teraz kończyć. Cześć!

Tyle na temat solidarności. Po tej rozmowie już wiedziałam: jestem sama.

Wzięłam się więc w garść, już nie narzekałam i odżywiałam się dalej bez słowa sprzeciwu tostami bez masła, makaronem bez sosu i naleśnikami bez owoców.

Gargamelowi nigdy się nie poskarżyłam. Byłam zbyt nieśmiała,

poza tym nie wiedziałam, jak mam się wyrazić. Na tyle dobry mój niemiecki jeszcze nie był, jeszcze długo nie.

Raz w tygodniu mogłam wyjść do miasta. W mój wolny dzień. Ale nikogo nie znałam i byłam zupełnie wyizolowana.

Tylko raz, na uniwersytecie ludowym, poznałam dwie Polki.

Jedna była sprzątaczką.

Przedtem, podobnie jak ja, pracowała *au pair*. Opowiadała, jak jej rodzina zabierała ją zawsze na urlop.

Do Włoch!

O tym nawet nie mogłam marzyć. Ucieszyłabym się już z mrożonej pizzy.

Dopiero dużo później dowiedziałam się, że Gargamel nigdy nie zapłacił mojego ubezpieczenia zdrowotnego, które mi obiecano. Dlatego, gdy rozbolał mnie któryś z zębów trzonowych, musiałam iść do sąsiada. Był dentystą i leczył mnie za darmo.

Ale nie łączyła ich chyba z Gargamelem zbyt mocna przyjaźń: przy leczeniu korzeni przyoszczędził na znieczuleniu.

Mimo to byłam mu bardzo wdzięczna.

Przynajmniej był miły i powiedział mi, że mogę przyjść w każdej chwili.

Miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała skorzystać z jego propozycji.

Moje kursy niemieckiego na uniwersytecie ludowym, które również się skończyły, Gargamel opłacał tylko przez pierwszy miesiąc. Potem chciał mi je odliczać z pensji.

A tę i tak nie zawsze dostawałam w pełnej wysokości. Jeśli miałam szczęście, dawał mi ją po trochu.

Nie chodziłam więc już do szkoły.

Próbowałam zapanować nad wzbierającym we mnie poczuciem beznadziei, regularnie dzwoniąc do domu. Trzy razy w tygodniu. Trwające za każdym razem kwadrans rozmowy telefoniczne z moją matką, siostrą i ojcem były jasnymi punktami w codzienności.

Jednak po dwóch miesiącach połączenia zostały zawieszane.

Gargamel nie zapłacił rachunku.

Ogrzewanie olejowe w sklepionej piwnicy czekał ten sam los. Od stycznia nie mieliśmy ogrzewania ani ciepłej wody.

Brałam więc prysznic w zimnej.

Moje życie w Niemczech stało się gorsze niż kiedykolwiek w Polsce.

Zastanawiałam się, czy powinnam pojechać z powrotem do domu; tęskniłam. Ale Polska wydawała mi się już wtedy taka daleka i jeszcze nie zapominałam o moim marzeniu, z powodu którego dokonałam przełomu.

Nie, chciałam poradzić sobie w Niemczech.

Gargamel praktycznie co tydzień miał inną dziewczynę. Wówczas zawsze była wspaniała kolacja. Czasem mogłam się przysiąc i też coś dostawałam.

Nie robiłam tego jednak z ochotą, bo gdy przysiadłam się do stołu, ci dwoje zawsze na mnie patrzyli, coś mówili i wyśmiewali się. Przecież nic nie rozumiałam.

Oczywiście, zawsze chodził z tymi kobietami do łóżka.

Raz jedna przyjechała czerwonym kabrioletem, była dentystką i jęczała podczas seksu tak głośno, że słychać było dwa piętra wyżej, w moim pokoju.

Tuż przed orgazmem krzyczała:

– Ty ogierze, ty ogierze, ty ogieeerze!

Położyłam sobie poduszkę na głowie.

Następnego ranka ta amazonka potraktowała mnie jak służącą:

– Proszę przynieść mi jeszcze soku pomarańczowego. Młoda damo, tost! Jajka są za miękkie. Proszę jeszcze raz!

Śmiała się przy tym, jak gdyby chodziło o jakiś żart. Zwracając się do Gargamela, szczebiotała:

– Ach, jakie to pięęękne tak być obsługiwany.

A ponieważ tak bardzo mnie lubiła, zechciała mi jeszcze udzielić dobrej rady. Jak kobieta kobiecie:

– Musi pani koniecznie wybielić sobie zęby.

Od tego czasu czuję niechęć do dentystek.

Mnie Gargamel stanowczo zabronił przyjmowania męskich wizyt.  
Niech żyje podwójna moralność!

## Wesołe święta

**G**argamel nigdzie mnie ze sobą nie zabierał. Nawet na zakupy. Tylko raz zaprosił mnie na ostatekową paradę do Moguncji.

Szczególne przeżycie...

Uznałam je za potworne: setki tysięcy ludzi wciśniętych w wąskie uliczki, pomiędzy nimi parada ciężkich traktorów i mnóstwo nerwowych koni.

Do jedenastej już trzech piratów narzygało mi pod nogi.

W Polsce nie świętuje się karnawału. Normalnie uważałabym za miłe to, że mój pracodawca raz chciał mi pokazać prawdziwie niemiecką tradycję.

Ale powód, by mnie zabrać, był, niestety, inny.

Alexandra chciała łapać cukierki, a ktoś musiał je zbierać i potem zanieść do domu.

Podczas gdy ja z Alexandrą pełzałyśmy po ziemi i zbierałyśmy rozklejone słodycze, Gargamel podrywał kobiety.

Osobliwy obyczaj.

Na Boże Narodzenie rodzice zabrali mnie do domu, do Polski. Gdy 20 grudnia stanęli przed drzwiami, rzuciłam się im na szyję w bezgranicznym zachwycie.

Gargamel, wbrew swoim zwykłym obyczajom, przygotował dla całej rodziny prezenty świąteczne: tańczącą choinkę dla mojej matki,

która patrzyła na nią trochę zdziwiona, ale cieszyła się z sympatycznego gestu; odświętny obrus dla ojca, a dla mnie kilka pachnących mydeł.

Miłe upominki.

Mój ojciec w rewanżu – jak odtąd przy każdej wizycie – przywiózł dziesięć kartonów marlboro. W charakterze podarunku.

22 grudnia pojechaliśmy do domu, do Polski.

Boże Narodzenie w domu było cudowne!

Zaczęliśmy wieczór wigilijny jak zwykle w Polsce od dzielenia się opłatkiem, który przynieśliśmy z kościoła, i życzyliśmy sobie przy tym wesołych świąt Bożego Narodzenia. Potem ojciec przeczytał z Biblii historię narodzin Jezusa. Po kolacji śpiewaliśmy kolędy i rozdaliśmy prezenty.

Ale tego roku to nie prezenty cieszyły mnie najbardziej.

Byłam głodna. A jedzenia było tyle, że ugiął się pod nim stół.

Tradycyjne polskie menu wigilijne składa się z dwunastu potraw. Cztery z nich podaje się na ciepło, osiem na zimno. Wszystkie są bezmięsne i przyrządzone z prostych składników. Jako wspomnienie ubóstwa pastuszków, którzy modlili się do dzieciątka Jezus w żłóbku. Ponieważ pochodzę z takiego regionu Polski, gdzie jest dużo lasów, tradycyjne potrawy jakoś tak zwyczajowo przyrządza się z grzybami:

- 1) barszcz z uszkami,
- 2) karp,
- 3) pierogi z kapustą i grzybami,
- 4) kapusta z grzybami lub grochem,
- 5) zupa grzybowa,
- 6) ziemniaki z sosem grzybowym,
- 7) śledź w oleju albo w śmietanie,
- 8) krostki,
- 9) kluski z makiem,
- 10) ryba po grecku,
- 11) kompot z suszonych owoców,
- 12) kutia.



Podczas świąt przytyłam pięć kilo. I wyglądałam w końcu jak normalna dwudziestodwulatka.

Kontrast stał się nadzwyczaj wyraźny, gdy rodzice po świątach odwieźli mnie z powrotem do Offenbach. Już gdy przejeżdżaliśmy przez niemiecką granicę, zacisnęło mi się gardło. Nie chciałam jednak zawracać.

Gdy przyjechaliśmy do Offenbach, Gargamel przygotował dla nas kolację.

Rodzice byli w szoku.

Podał suche ziemniaki. W mundurkach.

Do tego topiony ser.

A to był już luksusowy wariant w domu Gargamela.

Rodzice w ogóle nie wiedzieli, co mają z tym zrobić. Z uprzejmości trochę zjedli. Widziałam po nich, że czuli odrazę.

Na szczęście przywieźliśmy dużo jedzenia z Polski. To wystarczyło nam na parę pięknych dni.

Zwłaszcza Gargamelowi wyśmienicie smakowało...

## W końcu wolna

Po zimie nadeszły wiosna i lato. W sierpniu minęło dziewięć miesięcy. Znowy wybrałam się do Polski. Na letni urlop.

Zapytałam Gargamela, czy mogę potem przywieźć siostrę. Była wówczas trzynastolatką i miała wakacje. Ojciec chciał ją odebrać i odwieźć do Polski cztery tygodnie później.

Gargamel się zgodził. Ale jeśli ktoś myśli, że zrobił to z wielkoduszności, jest w błędzie. Im więcej siły roboczej w domu, tym bardziej mu to było na rękę. Czy jeden pokój więcej był zajęty, czy nie, nie robiło różnicy. I oczywiście nie miałyśmy nic do jedzenia.

Pieniądze, które siostra przywiozła, wydałyśmy na pożywienie.

W lodówce znowy było tylko... światło.

Gdy chciałyśmy iść na basen, prosiłam go o moje od dawna należne wynagrodzenie.

Jego odpowiedź brzmiała:

– Kiedy cały dom będzie posprzątny, dostaniecie dwadzieścia marek.

Nie pozostało mi nic innego, jak na początku letnich wakacji wraz z siostrą wypucować dom od góry do dołu. Przy trzydziestu stopniach w cieniu. Dwadzieścia marek nie mogło chyba być godziwym finansowym zadośćuczynieniem za tę niewolniczą pracę.

Ale maraton sprzątnania opłacił się nadzwyczaj z zupełnie innego

powodu: na basenie poznałyśmy dwóch chłopaków. Chorwatów. Jeden znał człowieka, który miał bistro i szukał kogoś do obsługi.

Parę dni później poszliśmy tam.

Właściciel bistra był Turkiem i miłym jegomościem. Powiedział, że mogę zacząć od zaraz. Za sześćset marek miesięcznie. Było też mieszkanie za bistro, coś w rodzaju działkowego domku z łazienką i kuchnią, ale bez ogrzewania.

Wpadłam w euforię. W końcu zobaczyłam jakąś możliwość zakończenia mojej niewolniczej egzystencji u Gargamela.

Pobiegłyśmy z siostrą tak szybko, jak tylko mogłyśmy, do domu i upchnęłyśmy do naszych podróżnych toreb wszystko, co miałyśmy. Potem wystawiłyśmy je potajemnie przed drzwi wejściowe.

Teraz nadeszła pora na najgorsze: na Gargamela.

Zastałam go jak zwykle przed telewizorem. Gdy podniósł na mnie wzrok, stanęłam przed nim i powiedziałam zadziwiająco mocnym głosem:

– Teraz wychodzę. Jutro wrócę tu po pieniądze, które jesteś mi jeszcze winien.

Więcej nie mogłam mu nic powiedzieć, bo poczułam, że miękną mi kolana. Obawiałam się, że Gargamel się wścieknie i na mnie nakrzyczy. Dlatego nie czekałam na jego odpowiedź, tylko wyszłam z pokoju.

Miałam nadzieję, że moje oświadczenie w pełni odniesie skutek, bo tak czy inaczej był mi winien ponad dwa tysiące marek.

Dźwigałyśmy z siostrą cały nasz dobytek pięć kilometrów przez miasto. Czułam się przy tym lekko jak nigdy dotąd.

W końcu byłam wolna.

Następnego dnia akurat ojciec przyjechał po siostrę. Pojechałam z nim do Gargamela, aby odebrać moje pieniądze.

Gdy chciałam otworzyć drzwi, okazało się, że Gargamel przez noc zmienił zamek. Chyba myślał, że zamierzałam mu ukraść jego antyki.

Postanowiłam nie traktować tego jak obrazy.

Jeszcze nigdy niczego nikomu nie ukradłam.

To on mnie oszukał i nie zapłacił pensji.

Ciekawe, że niektórzy ludzie patrzą na innych przez własny przyzmat...

Zadzwoiłam. Gargamel otworzył i poszedł z powrotem, nic nie mówiąc i nie czekając na nas, do pokoju z telewizorem.

Ojciec i ja za nim.

Na stole leżały pieniądze. Wzięłam je i przeliczyłam: pięćset marek.

Zapytałam, gdzie reszta.

W odpowiedzi usłyszałam znudzone:

– Więcej nie mam.

Ten mężczyzna po prostu budził we mnie tylko wstręt. Nie chciałam mieć z nim więcej nic wspólnego.

Odwróciłam się na pięcie, bez słowa lekko wypchnęłam ojca z domu i zamknęłam za sobą drzwi. Na zawsze.

Mam dziś uczucie, że wówczas siedziałam dziesięć miesięcy w więzieniu. To było straszne.

Jeszcze teraz czuję lęk, kiedy pomyślę o tym okresie. Bałam się, byłam zdana na czyjąś łaskę i zostałam pod wieloma względami wykorzystana.

Ale odeszłam.

Nie pozostałam ofiarą, tylko się uwolniłam.

Od tego czasu wiem, że zawsze mogę to zrobić.

## Postludium

Rok później przypadkiem spotkałam na ulicy Birgit, była żoną Gargamela. Poprosiła mnie o numer komórki. Gdyby potrzebowała pomocy, miała do mnie zadzwonić. Kilka razy pomogłam jej nawet posprzątać i wyczyścić wszystko po imprezach urodzinowych.

To była nagle zupełnie inna osoba!

Pozwalała mi nawet jeść u siebie.

Również z Alexandrą miałam na koniec dobre układy. Odwiedzałam ją od czasu do czasu. Ale dorosła i już mnie nie potrzebuje.

Gdy ponad rok później spotkałam na deptaku Magdalenę i jej partnera, opowiedziałam, że mam nową pracę i już nie mieszkam u Gargamela.

Z ironicznie pogardliwym uśmieszkiem odparła:

– No, to masz teraz SWOJE jedzenie.

Wciąż jeszcze mi nie wierzyła, że u Gargamela nie dostawałam prawie nic. Ta kobieta, która tak jak ja pochodziła z Polski i urodziła się piętnaście kilometrów ode mnie, nie tylko zostawiła mnie kompletnie bez pomocy, lecz także nawet teraz nie wierzyła jeszcze, że mówiłam prawdę.

Gargamela spotkałam na basenie. Był ze mną mój chłopak. Znał tę historię. Popatrzyliśmy na siebie i roześmialiśmy się.

Tak jak Gargamel ze swoimi przyjaciółkami przy kuchennym stole śmiał się ze mnie.

To mi dobrze zrobiło.

Czasem przejeżdżam obok tej starej willi.

Stoi jeszcze. Ale czy coś w środku zostało, trudno mi powiedzieć.

## Zostać sprzątaczką

**P**raca w bistro była w porządku.

Tylko napoje i grający w karty mężczyźni. Głównie Turcy.

Jeśli ktoś chciał coś zjeść, mógł złożyć u mnie zamówienie. Bieg łąm wtedy do pizzerii albo budy z kebabem i przynosiłam pożywny ładunek na stół. Razem z herbatą albo piwem.

Mężczyźni zazwyczaj cały wieczór grali w karty. Kto przegrał, musiał zapłacić rachunek.

Nigdy nie dostawałam napiwku. Najwyraźniej nie było przyjęte, by dawać coś obsłudze.

Goście mieli natomiast silną skłonność do tego, by oczekiwać czegoś ode mnie: zainteresowania, randek albo podania numeru telefonu. Niektórzy byli bardzo natrętni, ale cieszyłam się po prostu, że za pracę w końcu mi się płaci.

Miałam dach nad głową i przyjaznego szefa. Czegóż chcieć więcej? Byłam szczęśliwa. W końcu miałam własne pieniądze.

Pracę zaczynałam około południa; najczęściej mniej więcej o 13.00. Dwanaście godzin później ją kończyłam.

Wolnych dni nie było.

Ale jeśli chciałam, mogłam wyjść czasem do miasta na godzinkę i spotkać się z przyjaciółmi.

Robiłam to prawie co dzień.

Moje początkowe poczucie szczęścia z nowo odzyskanej wolności ustąpiło po kilku tygodniach pewnego rodzaju fizycznemu wyczerpaniu. Gdy o pierwszej w nocy kończyłam pracę, nie mogłam od razu iść spać. Rzadko docierałam do łóżka przed trzecią.

Pozostałe dziewięć godzin to na dłuższą metę było za mało, żeby się wyspać, zrobić zakupy, ugotować, posprzątać i spotkać się z przyjaciółmi.

Moje życie wypełniała właściwie tylko praca.

Jeśli chodzi o czas, mój tydzień pracy był dłuższy niż w wypadku menedżera najwyższego szczebla. Niestety, nie mogłam się z nim równać, jeśli chodzi o zarobki...

Byłam przez ponad 80 godzin tygodniowo w bistrze i wkrótce poczułam się wypalona.

Przez dłuższy czas po prostu nie dałabym tak rady. Stało się dla mnie jasne, że na razie muszę poszukać sobie innego zajęcia, które pozwoli mi zarobić na utrzymanie w Niemczech, ponieważ postanowiłam, że tymczasem chcę tu zostać.

Ponieważ słyszałam, że wiele Polek zatrudniało się do sprzątania, i ja chciałam znaleźć taką pracę.

Zanim zaczęłam pracę w bistrze, poznałam w mieście kilku chłopaków. Albańczyków.

Siedziałyśmy z siostrą na ławce, a ci dwaj nas zagadnęli. Byli mili. Wymieniliśmy więc numery telefonów.

Jeden z nich zadzwonił do mnie następnego dnia.

Spotkaliśmy się kilka razy.

Adem był słodki, miał długie czarne włosy i łagodne brązowe oczy. Wciąż dobrze pamiętam, jak go pierwszy raz zobaczyłam. Od razu mi się spodobał. Pod cienkim obcisłym T-shirtem, który nosił, widać było jego duże, wysportowane ciało.

I był dowcipny.

Bardzo o mnie zabiegał. Wkrótce zostaliśmy parą.

Adem miał kontakty z firmą sprzątającą, która dbała o porządek i czystość w szkołach i innych instytucjach publicznych. Niemiecką



firmą.

Była tam możliwość sprzątanania bez karty podatkowej. Na czarno.

Przyjęli mnie.

Każdego dnia o godzinie 17.00 zabierał mnie spod drzwi domu zbiorczy autobus i pięć godzin później odwoził z powrotem.

To było znacznie mniej obciążające zajęcie niż praca w bistrze.

Z osiemdziesięciu godzin pracy tygodniowo ich liczba spadła do zaledwie dwudziestu ośmiu.

Wyłączając czas dojazdu.

Po piętnaście marek za godzinę, na czysto do ręki.

Czyli sześćdziesiąt marek dziennie.

To było nawet znacznie więcej pieniędzy, niż zarabiałam w bistrze. A moje życie totalnie się dzięki temu rozluźniło. Musiałam jednak poszukać sobie lokum, ponieważ mieszkanie tuż za bistro trzeba było opuścić. Wprowadziłam się do mojego chłopaka.

To było w okresie, kiedy Albańczycy z Kosowa z powodu wojny uzyskiwali w Niemczech azyl. Gdy „wojna w Kosowie” skończyła się w połowie 1999 roku, w kolejnych latach uchodźcy musieli stopniowo opuszczać Niemcy.

Również Adem zmuszony był wrócić do Albanii. Obydwie jego siostry miały pozwolenie na pobyt. Jedna mieszkała w Hamburgu i była żoną Albańczyka, który miał niemiecki paszport. Druga mieszkała w Offenbach i jako żona niemieckiego lekarza była również chroniona przed deportacją. Tylko Adem nie miał nikogo z niemieckim paszportem.

Ja też nie mogłam mu, niestety, pomóc.

Gdy patrzę wstecz, myślę, że chętnie bym to zrobiła. Chociaż nasz związek nie był już wtedy tak silny.

Ponieważ Adem był chory z zazdrości. Nie spuszczał mnie z oka nawet na chwilę. W każdym rozmówcy płci męskiej węszył rywala. Permanentnie wątpił w moją wierność. Mogłam się spotkać z przyjaciółkami, jeśli mnie odstawił na miejsce, żeby się upewnić, że nie ma tam żadnych mężczyzn. Oczywiście zawsze mnie też osobiście

odbierał.

Powoli zaczynałam się dusić.

Gdy Adem leciał kiedyś do Albanii na pogrzeb przyjaciela, który zginął na wojnie, pożegnał się ze mną tymi słowami:

– Jeśli mnie zostawisz, od razu wracam do Kosowa!

To była skierowana do mnie groźba.

Nie miał pojęcia, że w tym czasie wyobrażenia o życiu bez niego zupełnie nie traktowałam już jako zagrożenia.

Przeciwnie.

Życzyłam sobie tylko, żebyśmy się mogli rozstać w bardziej korzystnych okolicznościach. Ale kiedy rozstanie może być „korzystne” ...

I stało się, co się musiało stać.

Gdy Adem chował w Kosowie przyjaciela, spakowałam swoje rzeczy i przeprowadziłam się do przyjaciół zajmujących wspólnie jedno mieszkanie.

Po powrocie koniecznie chciał się ze mną spotkać, ale ja nie byłam na to jeszcze gotowa. Rozmawiać z nim? O czym?

Poza tym Adem był bardzo porywczy i już raz niemal mnie uderzył, gdy w szale zazdrości znów sądził, że go zdradziłam.

Uważałam, że bezpieczniej będzie się z nim już więcej nie zadawać.

Moje przeczucia się potwierdziły, gdy spotkałam Adema pół roku później w mieście. Z początku w ogóle go nie zauważyłam. Nagle stanął przede mną rozwścieczony, ze szczyrykiem w dłoni, wymachując nim przed moją twarzą.

– Wróciłem specjalnie ze względu na ciebie! ZABIJĘ CIĘ!

Przyjaciela go odciągnął.

Potem przez wiele dni bałam się wyjść sama na ulicę.

Kilka miesięcy później usłyszałam, że Adem musiał opuścić Niemcy.

Mimo wszystko było mi go żal.

Wiedziałam, jak bardzo był przywiązany do swojego życia w tym kraju. I chociaż nienawidziłam jego porywczoci, to mogłam się identyfikować z jego sytuacją.

Przecież i mnie nie szło najlepiej.

Wraz z końcem naszego związku skończyła się oczywiście też moja praca w firmie sprzątającej. Jego przyjaciele po prostu pewnego ranka po mnie nie przyjechali. Nie dopytywałam się dlaczego.

Gdyby oni nie wykazali się inicjatywą, tak czy owak zwolniłabym się z pracy.

To było już za mną.

Ale sprzątanie sprawiało mi frajdę. Szukałam więc własnych adresów. Poszło bez problemów i mogłam od razu dobrze z tego żyć. Teraz byłam sama sobie szefową.

Samodzielną i odpowiedzialną za siebie.

I było mi z tym dobrze.

Myślę, że to był okres, kiedy odkryłam wprawdzie nie moją namiętność, ale jednak talent: sprzątanie.

## Nowa miłość

Po epizodzie z Ademem mieszkałam przez parę miesięcy z Polakami w jednym mieszkaniu. Ośmioro rodaków wynajęło cały dom, w którym każdy miał jeden pokój.

Mój był na parterze. Okno wychodziło na ruchliwą ulicę, tak że mogłam dotknąć głów przechodzących nią ludzi.

W domu mieszkał też Marek, miły chłopak, z którym dość szybko się zesłaliśmy. Nasz związek trwał dokładnie rok. Dopóki nie przyjechała z wizytą moja siostra. Miała wówczas czternaście lat.

Ci dwoje się nienawidzili. Marek zachowywał się, jakby był jej ojcem, zarządzał nią i komenderował. Potem znów był w stosunku do niej jak małe dziecko, robił sobie z niej żarty i dręczył ją, jak tylko mógł.

Dziś myślę, że nie potrafił sobie poradzić z tym, że przez tych kilka tygodni, kiedy była, poświęcałam siostrze więcej uwagi niż jemu. Czuł się chyba odsunięty na drugi plan. I to mu było nie w smak.

Był naprawdę denerwujący.

Mówił do niej wyłącznie „mała”, co czternastolatkę oczywiście doprowadza do szału, ponieważ właśnie jest w samym środku okresu dojrzewania i zaczyna się czuć atrakcyjną kobietą.

Kłótnia goniła kłótnię.

Poza tym rzadko widywałam siostrę. Byłam w pracy, a kiedy wracałam do domu, siedziała na wielkiej poduszce przy otwartym na

ulicę oknie i flirtowała z chłopakami z sąsiedztwa.

Moja siostra odkryła mężczyzn.

Gdy zobaczyłam ją pierwszy raz siedzącą przy oknie, nie mogłam się nie roześmiać: zrobiła makijaż, nałożyła pomadkę i pomalowała paznokcie na czerwono moim lakierem.

Miała na sobie najpiękniejszą sukienkę i próbując zrobić kok, zaczesła włosy tak wysoko, że wyglądała jak oskubana kura.

Na jej widok można było krzyknąć z przestachu.

Gdy przeszedł mi cichy atak śmiechu, powiedziałam komplement na temat jej wyglądu i zaproponowałam, że jej pokażę, jak mogłaby „jeszcze ładniej” podkreślić urodę.

Była zachwycona i chętnie przyjęła pomoc.

Moim najważniejszym zadaniem stało się najpierw poranne „wyszykowanie” siostrzyczki, a potem usadzenie jej przy oknie tak, żeby nie wyglądała jak prostytutka, tylko jak atrakcyjna szesnastolatka.

To nie było łatwe.

Ale przynajmniej sprawiło, że z letnich tygodni spędzonych w Niemczech korzystała w pełni.

Cały dzień flirtowała z chłopakami, którzy ciągnęli do niej jak pszczoły do miodu. Pod oknem tworzyły się czasem regularne chmury chłopaków, którzy się tam spotykali, żeby zrobić na mojej siostrze wrażenie. Po kilku dniach chodnik pod moim oknem stał się najbardziej uczęszczanym miejscem spotkań na ulicy.

Tylko właściciele restauracji naprzeciwko okropnie denerwowali się tym codziennym szturmem. Chyba dlatego, że był, niestety, po niewłaściwej stronie ulicy...

Kiedyś rzucali surowymi jajkami, które rozbijały się o fasadę i okna, prowokując młodzieńców przed domem do dzikich wrzasków i mnóstwa śmiechu. Nie dali się stamtąd przepędzić.

Hormony szalały. A mimo to wszystko było zupełnie niewinne i niegroźne.

Pierwsze eksperymenty w miłości.

To było naprawdę słodkie.

I okazało się zrzędzeniem losu. Dla mnie.

Akurat stałam w łazience, kiedy siostra zawołała od okna:

– Justyna! Wychodź! Ten piękny chłopak od czerwonego golfa chce cię poznać!

Zaparko mi dech.

„Ten piękny chłopak od czerwonego golfa” był najbardziej atrakcyjnym facetem w sąsiedztwie. Widywałyśmy go bardzo często na ulicy i marzyłyśmy o nim. W swoim wpadającym w oko czerwonym golfie wyglądał niesamowicie sztywnie.

To był dokładnie mój typ: południowiec, czarne włosy, ciemne oczy, wyrazista twarz i jędrny tyłek w dopasowanych dżinsach.

Uczta dla oka.

A teraz to ciacho podeszło do okna!

Zobaczył siedzącą w nim moją siostrę i zapytał śmiało:

– Hej, możesz zawołać swoją przyjaciółkę? Chciałbym ją poznać.

Ten piękny chłopak od czerwonego golfa najwyraźniej już od dłuższego czasu mnie obserwował.

Serce biło mi jak szalone. Podeszłam do okna. Zagadnął mnie.

On: Cześć! Jak leci?

Ja: Dobrze. A tobie?

On: Dobrze. Jestem Marco.

Ja: Mam na imię Justyna.

On: ...

Ja: ...

Ach, jak słodko wyglądał. I tak nieśmiało.

On: Hm... Czy mógłbym dostać twój numer telefonu?

Ale przecież ja jeszcze miałam chłopaka...

Ja: Dlaczego?

On: Moglibyśmy się kiedyś umówić.

Miałam chłopaka!

Ja: Dobrze.

On: A więc?

Zgubiłam się w jego oczach...

Ja: 0151 3673 6848.

On: Zadzwoń do ciebie! Ciao!

Ja: Ciao!

Teraz przede wszystkim musiałam usiąść. Byłam kompletnie zdezorientowana. Naprawdę dałam mu swój numer? I to w dodatku prawdziwy! Czy ja do reszty oszalałam? Co Marek powie? Co mam teraz zrobić?

Zdecydowałam, że nie odbiorę telefonu od Marca.

Następnego dnia usłyszałam dzwonek komórki.

Nieznany numer.

Na pewno Marco!

Odebrałam.

Spotykaliśmy się, żeby pójść na kawę i koktajl, zakupy czy spacer. Nie było między nami nic oprócz intensywnych, pięknych rozmów. Dużo się śmialiśmy.

Wszystko było jak trzeba.

Marco okazał się taki nieśmiały, a jednocześnie pełen życia i szarmancki. Zawsze o mnie dbał i traktował uprzejmie.

To mi tak dobrze robiło.

I tak zakochałam się w nim coraz bardziej i bardziej.

A on we mnie.

Po kilku tygodniach pocałowaliśmy się pierwszy raz i od tego czasu było dla mnie jasne, że Marek to przeszłość.

A on zauważył rosnący dystans. Aby oszczędzić mu niepotrzebnego bólu, chciałam się z nim rozstać jak najszybciej.

Ale nie dałam rady po prostu mu powiedzieć, że zakochałam się

w innym mężczyźnie. Wyjaśniłam więc Markowi, że nie wyobrażam sobie wspólnego życia z nim, bo „tak naprawdę nie pasujemy do siebie”. To nie była cała prawda, ale też nie kłamałam.

Przyjął to spokojnie i powiedział tylko, że w tej sytuacji rzeczywiście bycie razem nie ma sensu. Był wprawdzie smutny, chciał jednak mieć dziewczynę, która byłaby z nim całym sercem.

Ja tego nie potrafiłam.

Już nie.

Rozstaliśmy się tego samego wieczoru.

Następnego dnia Marek spakował rzeczy i się wyprowadził.

Kilka tygodni później wprowadził się do mnie Marco.

Siostra była zachwycona. Uwielbiała tego szarmanckiego niemieckiego Włocha, który wciąż nazywał ją principessą. Mała awansowała na księżniczkę.

To do niej pasowało.

A ja byłam szczęśliwa.

Ten piękny chłopak od czerwonego golfa zakochał się we mnie, a praca sprawiała mi frajdę.

To, co budziło takie odpowiednie, właściwe uczucia, musiało być dobre.

I życie przyznało mi rację.

Marco jest dziś moim mężem.



## Kuriozalni klienci

Sprzątałam na czarno. Wiem, że w Niemczech to zabronione. Mam nadzieję, że nikt mnie nie zadenuncjuje, i nigdy nie podam swojego prawdziwego nazwiska.

Na początku każdy, z kim rozmawiałam, radził mi, żebym nie zgłaszała działalności, bo podatki są wysokie. Teraz wzięłabym to pod uwagę.

Ale właściwym powodem takiego rozwiązania było dla mnie to, że żaden z klientów nie chciał ponosić dodatkowych kosztów. Tych, którzy byliby gotowi przyjąć oficjalny rachunek i zapłacić odpowiednio wysokie stawki godzinowe, mogłabym przez prawie dziesięć lat sprzątanania policzyć na palcach jednej ręki.

Moi klienci, wręcz przeciwnie, byli zadowoleni, kiedy rachunek się nie pojawiał.

Wielu płaciło pieniędzmi zarobionymi na czarno.

Pracowałam dla kilku przedsiębiorców, właścicieli restauracji i rzemieślników, którzy nigdy w życiu by mnie nie zatrudnili, gdybym wystawiała rachunki.

Nie znam żadnej sprzątaczkii – nieważne, jakiej narodowości – która przynajmniej częściowo nie pracowałaby na czarno. I której klienci nie uważaliby, że to super, bo wtedy za dziesięć euro za godzinę mają posprzątane, uprane, uprasowane, a czasem i ugotowane.

Oczywiście pozostaje kwestia solidarności i odpowiedzialności społecznej. Ja próbuję uczynić temu zadość, raz w tygodniu za darmo sprzątam mieszkanie pewnej kruchej starszej pani w naszym domu i zabawiam ją. To taki rodzaj prywatnej służby pielęgniarstwa i opieki społecznej.

Mam nadzieję, że robię w ten sposób dostatecznie dużo dla społeczeństwa.

Innego rozwiązania, które pozwoliłoby mi zarabiać samej na utrzymanie, na razie nie widzę.

Do tego muszę powiedzieć, że naprawdę mam klientów, po których nikt by się nie spodziewał naginania prawa.

Na przykład Tanja K. jest sędzią, a podczas rozmowy o zatrudnieniu powiedziała:

– Polecono mi panią jako osobę dyskretną. Muszę mieć stuprocentową pewność, że pani nikomu – ale to NIKOMU – nie powie o swojej pracy dla mnie. W przeciwnym razie OBYDWIE będziemy miały poważne problemy!

Nie musiała mi grozić, jestem bardzo dyskretna. Jeśli opowiadam o kimś, to zawsze zmieniam nazwiska albo używam skrótów.

Weźmy takiego komisarza policji R. U niego nie tylko sprzątałam na czarno, lecz także podlewałam raz w tygodniu jego „pomidory”. Że chodzi o konopie, dotarło do mnie dopiero, gdy zakwitły.

Ale dalej zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy oboje nie mieli bladego pojęcia o nielegalnej uprawie na dużym słonecznym balkonie.

Tak czy owak, zadaję sobie pytanie, do czego potrzebował własnej uprawy. W szufladzie jego nocnej szafki zawsze leżało kilka plastikowych torebek z jakąś trawą albo tabletkami. Gdy go kiedyś zagadnęłam, skąd to wszystko ma, odpowiedział z szokującą szczerością:

– U nas i tak się to wyrzuca!

Mam nadzieję, że policja nie rozdaje w wielkim stylu narkotyków z różnych obław swoim urzędnikom. Wygląda jednak na to, że niektórzy sami bez kłopotu potrafią się w nie zaopatrzyć.

Ale kto wie, być może komisarz policji R. był tylko niechlubnym wyjątkiem...

Christian F. jest deputowanym z ramienia SPD. To również przedstawiciel klienteli, której nie spodziewałabym się na mojej liście, a która dzięki pozytywnej reklamie z ust do ust była jednak coraz liczniej reprezentowana.

Wszędzie obowiązywała podstawowa zasada: widzieć i milczeć.

Żaden problem.

Ale ja milczę na swój sposób.

Do tego dochodzą adwokaci, lekarze, psycholodzy, pracownicy reklamy, menedżerowie.

I właściciele burdeli.

Muszę przyznać, że na początku miałam tam lęki związane z dotykaniem. W Polsce prostytutka jest traktowana jako coś znacznie bardziej nieobyczajnego niż w Niemczech. Chociaż tam z pewnością równie wielu mężczyzn płaci za miłość co tutaj. Ale podwójna moralność istnieje też w Polsce.

Tymczasem jednak wyjątkowo polubiłam sprzątanie w burdelach.

Przychodzę rankiem, kiedy jest już po robocie. prostytutki same wolą pojęcie „kurwa” – ale tylko kiedy są we własnym gronie i mówią o sobie. Określenie to z ust mężczyzny albo kobiety, którzy nie mają do czynienia z tym interesem, i pojęcie „kurwa”, tak jak funkcjonuje w powszechnym użyciu, uważają za obraźliwe.

Po jakimś czasie wolno mi było nazywać prostytutki kurwami, co traktowałam jako swego rodzaju pasowanie na rycerza.

Gdy rankiem przychodziłam do pokoi, na szafkach nocnych często leżały zostawione dla mnie cukierki albo inne słodczyce.

To było bardzo miłe.

Myślę, że wynikało z faktu, że te kobiety wiedziały, jak to jest być na samym dole drabiny społecznej. I jak wiele wtedy znaczą takie życzliwe gesty.

Kiedy zbierałam te drobne słodczyce, mój dzień pracy zaczynał się od uśmiechu.

Na początek opróżniałam kosze na śmieci: prezerwatywy, tubki po lubrykantach i opakowania po płynach do lewatyw lądowały w worze. Do tego całe mnóstwo papierowych ręczników. Było wiele do wytarcia.

Ogólnie rzecz biorąc, myślałam jednak, że w burdelach dzieją się bardziej obłeśne rzeczy. Musiałam wprawdzie wytrzeć jedną czy drugą plamę spermy.

Ale nie inaczej było w prywatnych domach.

Co zadziwiające, kiedy przychodziłam, w burdelu panował względny porządek.

Większy niż w niektórych domach, gdzie byłam zatrudniana.

– Klienci oczekują czystości – wyjaśnił mi właściciel burdelu.

Gdy się człowiek przyzwyczai do myśli o tym, co się tu nocą dzieje, sprzątanie staje się tylko rutynowym zajęciem. A dzięki tym sympatycznym dziewczynom jest wręcz miłe.

Jedna nawet poprosiła mnie w zeszłym tygodniu, żeby sprzątać u niej prywatnie. Wychowuje sama dziecko i potrzebuje pomocy.

Jeśli chodzi o mnie, mogła być pewna, że nie potraktuję jej z góry, więc zaufała mi.

To fakt.

W życiu nie przyszłoby mi to do głowy.

Teraz, kiedy mogłam zajrzeć za fasadę.

## Justyna Sprawiedliwa

Dziwki to nie jedyna grupa społeczna, która musi walczyć z uprzedzeniami.

Muszą to robić również polskie sprzątaczk.

Jeszcze za czasów niemieckiej marki odpowiedziała na moje ogłoszenie pewna pani w średnim wieku. Była jedną z moich pierwszych klientek i przedstawiła się jako Jutta.

Chodziło o rodzinę z trójką małych dzieci.

Trzypokojowe mieszkanie na parterze starego secesyjnego domu.

Trzy razy w tygodniu.

Po godzinie.

Przez telefon negocjowałyśmy moje wynagrodzenie. Było to wówczas piętnaście marek niemieckich.

Właściwie nawet lubiłam tę kobietę, ale uważałam za komiczne to, że wciąż jest w domu, kiedy sprzątam.

Z zasady klienci dają mi klucze i zostawiają pole do popisu.

Chyba też dlatego, że niezbyt im odpowiada, kiedy odkurzam między ich stopami.

Ale Jutta zawsze była w domu, kiedy sprzątałam. Chociaż jej mąż był w pracy, trójka dzieci w przedszkolu, a ona przecież mogłaby skorzystać z tego czasu dla siebie. Ja na jej miejscu poszłabym do miasta, spotkała się z przyjaciółmi albo wybrała na zakupy.

## Ulubione pory sprzątania

Większość klientów chciałaby mieć mieszkanie posprzątane przed weekendem.

Dlatego najbardziej pożądanym terminem sprzątania jest piątkowy poranek.

W sobotę nikt nie chce mieć sprzątaczkę w domu.

A w poniedziałek też gderają.

Zasadniczo chętniej przed południem, od godziny 11.00.

Wieczorem nie później niż przed zapadnięciem zmroku. Latem chodzę więc też o 20.00 jeszcze raz do prasowania.

W niedzielę rzadko kto mnie zamawia.

Jeśli klienci są na urlopie, jest im z reguły wszystko jedno, kiedy przyjdę, ważne, żeby było czysto, gdy wrócą.

Zamiast tego deptała mi po piętach. Gdy składałam w sypialni bieliznę, chętnie wchodziła pod jakimś grubymi nićmi szytym pretekstem, że czegoś szuka. Potem szybko rozglądała się po pokoju i znów znikwała.

I tak co dziesięć minut.

Gdy sprzątałam w kuchni, pucowałam łazienkę albo porządkowałam pokój dzienny – działa się to samo.

Szybko zrozumiałam, po co: kontrolowała mnie. W cyklu dziesięciominutowym.

Ze strachu przed kradzieżą.

Do tego czasu w ogóle nie przeszło mi przez myśl, iż ktoś mógłby się obawiać, że coś zwiędę.

Nie rozumiałam też, co w ogóle miałabym ukraść. Był tam tylko stół i cztery krzesła, sofa, szafa wnękowa, telewizor i magnetowid.

To, co każdy ma w domu. Również każdy Polak.

Gdy Jutta dawała mi pieniądze, regularnie łączyła to z ostrzeżeniem. Opakowanym w papierek przyjaznej pochwały.

– Wiesz, Justyno, tak się cieszę, że mogę ci zaufać. Kobieta, która sprzątała tu przed tobą, też była Polką. I zawsze coś zniknęło razem z nią.

Oczywiście, wyrzuciłam ją. Coś takiego nie uchodzi! Ale ty jesteś inna. Uważam, że to wspaniale. Pozostań taka, jaka jesteś.

A potem następowało zazwyczaj jeszcze jedno zdanie w rodzaju:

– Właściwie to ty nie jesteś Polką. Hahahahaaaa.

Za pierwszym razem nie wierzyłam własnym uszom.

I odpowiedziałam:

– Wiesz, kradzież nie jest u nas uwarunkowana genetycznie. Nie wszyscy Polacy kradną. Ja jeszcze nigdy niczego nie ukradłam.

A tego, co się tu znajduje, nie chciałabym mieć we własnym mieszkaniu, pomyślałam sobie w duchu.

Ona na to:

– Ależ wiem przecież. Dlatego też twierdzę: TY jesteś inna!

Dobra, nie da się z tym nic zrobić...

Z biegiem lat mój stosunek do takich uprzedzeń się zmienił. Na początku traktowałam je jak osobistą obrazę i często bardzo się wściekałam. Ale to nie robiło mi dobrze, ponieważ przelykałam swoją złość i zabierałam ją ze sobą do domu. Kłóciłam się z mężem, czułam się przybita i zaczynałam nienawidzić pracy.

Dziś lepiej rozumiem, że w wielu wypadkach zupełnie nie o mnie chodzi.

A także nie o Polaków czy Niemców.

Myszę po prostu, że dla niektórych ludzi generalnie trudne jest wpuśczenie kogoś do swoich czterech ścian.

Pozwolenie, by zajrzał do szaf, do szuflad, do łazienki, do toalety, do łóżka. W najświętsze z najświętszych miejsc.

Wielu po prostu się boi. A niektórzy rzeczywiście mają złe doświadczenia.

Sprzątaczkę nie są święte.

Wszędzie są mili i niemili ludzie.

Uczciwi i nieuczciwi.

Ile gdzieś światła, tyle i cienia.

A i sam człowiek ma w sobie zawsze jedno i drugie: światło i cień.

Nie zawsze jednak udawało mi się tak widzieć tę sprawę.

Czasem czułam się osobiście urażona i wracałam z pracy z płaczem. Były też i takie dni.

Ale kto ich nie zna?

Jutta jeszcze kilka razy postawiła mnie przed wyzwaniem, bym nie eksplodowała jej prosto w twarz. Moją ulubioną historią na ten temat jest ta oto.

Kiedys zamiast o 9.00 przyszłam dopiero o 9.10. Poza tym jestem raczej punktualna, ale tego dnia mocno padał śnieg i ruch był nadzwyczaj spowolniony.

Gdy skończyłam sprzątanie, Jutta dała mi wynagrodzenie.

Zamiast zwykłych piętnastu marek wcisnęła mi w dłoń trzynaście.

Ja: Ach, nie dostanę jeszcze dwóch marek?

Ona: Nie byłaś dziś przez pełną godzinę.

Ja: Jak to?

Ona: Przyszłaś dopiero dziesięć po dziewiątej.

Ja: Aha?

Ona: Dziesięć minut przy stawce piętnaście marek za godzinę to dwie i pół marki. Dlatego dzisiaj dostajesz dwanaście pięćdziesiąt. Kiedy znów przyjdiesz punktualnie, otrzymasz pełne wynagrodzenie.

Ja: Ale to nie jest dwanaście pięćdziesiąt, tylko trzynaście marek.

Ona: Wiem, nie mam drobnych. Ale to nic, zapisałam to sobie.

Następnym razem to wyrównamy.

I rzeczywiście, za dwa dni odjęła mi te nadpłacone pięćdziesiąt fenigów. W ten sposób znów było na swoim miejscu.

Czy to była ta słynna „niemiecka dokładność”?

Jeśli tak, w wypadku Jutty nie działała w obydwie strony. Ponieważ prawie nigdy nie kończyłam równo o 10.00, tylko zazwyczaj sprzątałam kwadrans dłużej, żeby nie zostawiać roboty w połowie. To jednak ani razu nie znalazło odzwierciedlenia w rachunku.

Sprawiedliwość wygląda zupełnie inaczej.



## Ohydne misiaczki

W 2004 roku moja siostra przeprowadziła się do mnie, do Niemiec. Potem stanęła na własnych nogach, ale na początku mieszkała u mnie.

Najpierw chciała we Frankfurcie studiować psychologię, ale brakowało jej pieniędzy.

Dlatego także zaczęła sprzątać. W ramach tymczasowego rozwiązania, które trwa już kilka lat.

Ale również ona nie porzuciła swojego marzenia. I tak jak ja widzi w sprzątaniu dobrą możliwość zarobienia na porządne utrzymanie.

Dałam więc wówczas znów krótkie ogłoszenie do gazety. Tym razem dla siostry.

Szukam miejsca do sprzątania i prasowania

Tel.: 0178 275 780

Odpowiedział na nie młody mężczyzna, który szukał sprzątaczkę do swojego gabinetu lekarskiego w pobliżu dworca kolejowego. Miał na imię Markus, brzmiał miło i szarmancko.

Umówiliśmy się na spotkanie.

Następnego ranka, w sobotę, ruszyliśmy z siostrą w drogę na wstępną rozmowę.

Dom, w którym znajdował się gabinet, był dużym budynkiem.

Nowym. Z białą fasadą. I dużymi oknami. Trzypiętrowym.

Oprócz gabinetu naszego lekarza, specjalisty laryngologa, znajdowały się tam jeszcze trzy gabinety lekarskie.

Poważny klient. Cieszyliśmy się.

Zadzwończyliśmy, wpuszczono nas i weszliśmy pełne nadziei schodami na pierwsze piętro.

Oczekiwało nas przy drzwiach dwóch mężczyzn, obydwaj w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat.

Jeden przedstawił się jako Thomas.

Drugi to był Markus, z którym rozmawiałam przez telefon.

Byłam zaskoczona.

Zupełnie inaczej go sobie wyobrażałam.

Spodziewałam się kogoś bardziej atrakcyjnego.

Natomiast Markus był małym facecikiem w hawajskiej koszuli, z dużą nadwagą i na wpół wyłysiałym.

Stał tak z rękami na biodrach, oparty plecami o ścianę, ciężko sapał i pocił się przy tym.

Wyobraziłam sobie, jak ten mężczyzna zagląda pacjentom do gardła, podchodząc do nich bardzo blisko.

Dostałam gęziej skórki.

Ale najwyraźniej nie przeszkadzało to nikomu oprócz mnie, ponieważ wyglądało na to, że gabinet dobrze prosperuje.

Wszystko było nowe i najwyższej jakości.

Markus trzymał się z początku na uboczu. To Thomas pokazywał nam, co jest do sprzątnia.

Na koniec obchodu głos zabrał Markus:

– Mam też mieszkanie, które trzeba posprzątać. Są panie zainteresowane?

Oczywiście, że byliśmy – lepiej nie mogło nam pójść. Umówiliśmy się kilka godzin później w jego mieszkaniu. Tam mieliśmy jeszcze porozmawiać i wyjaśnić pozostałe kwestie.

Markus czekał na nas już na klatce schodowej. Pokazał nam mieszkanie. Cztery pokoje, kuchnia, łazienka. Dokładnie posprzątane.

Jeden z pokoi stanowił biuro. Markus był singlem. Przy okazji rzucił:

– Jestem filatelistą. Handluję znaczkami pocztowymi.

Aha, a więc nie lekarzem?

„Dziwny numer” – pomyślałam. Czy Markus nie mówił przez telefon o „swoim” gabinecie?

Ale było mi wszystko jedno.

Lekarz, kolekcjoner znaczków pocztowych czy doradca podatkowy.

Co za różnica?

Już wówczas zauważyłam, że całe mieszkanie zapchane jest misiami. Wydawało się, że Markus ma świra na punkcie misiów. Trochę niezwykle jak na mężczyznę w jego wieku, ale to też było bez znaczenia dla sprzątanía.

Był przyjacielski, zaproponował nam coś do picia, a po półgodzinie zatrudnił moją siostrę.

Raz w tygodniu.

Cztery godziny.

Po dziesięć euro za godzinę plus pieniądze na dojazd.

Umówiłyśmy się, że ja przejmę gabinet lekarski. Dziwnym zbiegiem okoliczności Thomas nigdy już nie zatelefonował. Próbowałam się do niego dodzwonić, ale nikt nie odbierał. Wykreśliłam ten adres.

A i z Markusa, jak się okazało, radość była krótka.

Siostra poszła tam parę razy.

Markus praktycznie przez cały czas do niej mówił.

Koniecznle chciał schudnąć i był na diecie.

Ale w szafkach nie było niczego oprócz nutelli i misiów-żelków.

Podobno każdego dnia chodził do salonu fitness i miał już całkiem przyzwoite mięśnie. Może chciałaby je zobaczyć? A potem stanął przed nią, podciągnął rękaw i obnażył swoje ciastowate ramię, na którym nie było widać niczego oprócz falującego tłuszczu.

Następnie przedstawiał jej kolejno swoje misie:

– To jest Kunibert. On jest od mamusi.

– Tu mieszka Ralfi. Tego podarował mi tatuś.

– Czy mogę ci przedstawić. To Papi.

Wszędzie było pełno misiów: filiżanki w misie, serwetki w misie, buty w misie, obrusy w misie, pościel w misie, ręczniki w misie, minutnik-miś, papier toaletowy w misie. Misie-żelki, czekoladowe misiaczki.

I oczywiście – zgodnie ze stylem całości – wyłącznie mleko Bärenmarke, czyli „niedźwiedziej marki”.

Jedynie nutella – piętnaście słoików – w kuchennej szafce nie pasowała do kompletu.

Nie było słoików w kształcie misiów.

Oprócz misiów miał jeszcze drugi ulubiony temat: seks.

Szalał za blondynkami. Takie też zamawiał sobie zawsze, gdy szedł do burdelu.

– Jest tam taka jedna, gorąca wymiataczka. Ojoojooiiii!

Wymachiwał przy tym wilgotną dłonią, jak gdyby chciał rozniecić ogień.

Moja siostra ma raczej południową urodę i jest ciemnowłosa, dlatego nie zastanawiała się za wiele i puszczała to mimo uszu. To ważna podstawowa umiejętność wszystkich sprzątaczek.

Kiedys Markus zapytał, czy ma chłopaka.

Ona: Tak, mam.

On: Też jest Polakiem?

Ona: Nie, Włochem.

On: Och, Włosi są do dupy. Zawsze kończą za wcześnie.

Ona: Spałeś już z którymś czy co?

Potem przez jakiś czas był spokój.

W domu opowiadała mi historie o „misiowym pojebie”, ale byłam pewna, że przesadza.

Markus wydawał mi się raczej spokojny i oziębiały. Właściwie dosyć kołtuński. To było dopiero jej pierwsze mieszkanie do sprzątnięcia i po prostu do wielu rzeczy jeszcze nie nawykła. Nie wierzyłam w te historie.

Dopóki nie musiałam pewnego razu jej zastąpić.

Jestem blondynką...

Markus od razu przeszedł do rzeczy: czekał już na klatce schodowej.

W hawajskiej koszuli.

Wszedł przede mną do mieszkania i zaprowadził mnie do salonu, gdzie stał otwarty laptop. Otworzył stronę internetową swojego ulubionego burdelu i pokazywał mi kobiety, które tam pracują i mu się podobają.

– Tę tutaj można spokojnie brać od tyłu. Ona to uwielbia.

Wątpiłam w to. Nie znam kobiety, która to uwielbia. Ani mężczyzny, który o tym nie marzy.

Opowiadał mi, ile ich miał i ile zapłacił. Spokojnie uzbierałby już na małe ferrari. Chodził tam kilka razy w tygodniu.

Odetchnęłam, gdy stamtąd wyszłam. Kompletny świr!

Ale to był „adres” mojej siostry, a on tylko gadał, dlatego w następnym tygodniu znów tam poszłam.

Za dwa tygodnie miała wrócić z urlopu i go przejąć.

Niestety, tym razem nie skończyło się na gadaniu.

Akurat myłam wannę, gdy usłyszałam za sobą szelest.

Odwróciłam się.

Markus stał ze spuszczoneymi spodniami.

I się śmiał.

Wcale nie uważałam tego za zabawne, tylko chwyciłam szmatę, obróciłam się tak, żebym nie musiała nadal widzieć zwisu między jego nogami, i wycofałam się z łazienki, mówiąc:

– Markus, zapakuj to z powrotem.

Potem sprzątałam dalej. W salonie. Potrafię się całkiem dobrze wyłączyć. Dopóki nikt mnie nie dotyka... A to się na szczęście jeszcze nie zdarzyło.

Markus zniknął na jakiś czas. W końcu wszedł do salonu, jak gdyby nigdy nic.

On: Wiesz, szaleję za dużymi biustami.

Ja: ...

On: Zechciałabyś na mnie popatrzeć?

Ja: Nie, dziękuję.

On: Dam ci sto euro!

Ja: NIE!

On: Szukam kobiety, której mógłbym zapłacić za uprawianie miłości, ale nie profesjonalistki.

„Uprawianie miłości”? W misiowym łóżeczku? Z Markusem? Za pieniądze? Od razu bym się porzygała...

Ja: Dobra, Markus. Skończ już. Teraz grzecznie pójdziesz do kuchni, a ja dokończę tu sprzątanie, w porządku?

On: Byłoby tak wspaniale, gdybym znalazł jakąś kobietę, która to ze mną zrobi i nie jest profesjonalistką.

Ja: Tak, ale to w żadnym razie nie będę ja.

On: Ale to znaczy, że to wszystko się nie opłacało.

Ja: Co takiego?

On: Ten trik...

Ja: Jaki trik?

On: Thomas i ja zawsze wyszukujemy kobiety do sprzątanego w gabinecie. Jeśli nam pasują, zapraszamy je do domu.

Ja: CO? To był TRIK?

On: Tak, dobrze brzmi? Wy też dałyście się na to złapać. Thomas w ogóle nie jest lekarzem. To gabinet jego ojca.

Ja: Ty świnió!

On: Hihihihiii!

Zostawiłam wszystko tak, jak stało, albo leżało i wyszłam z mieszkania. Nigdy już tam nie wróciłam.

Gdy opowiadałam siostrze, co się zdarzyło, ledwie jej się to w głowie mieściło. Również ona w żadnym wypadku nie chciała tam więcej chodzić.

Kilka dni po powrocie siostry z urlopu zadzwonił do niej Markus.

On: Halo, dlaczego nie przychodzisz?

Ona: Oszalałeś? Po tym, co zrobiłeś mojej siostrze, chcesz, żebym jeszcze przychodziła?!

On: A co takiego zrobiłem?

Ona: Justyna mi wszystko opowiedziała!

Potem się rozłączyła. Ale dziesięć minut później znów zadzwonił.

Siostra przeliczyła się co do misiowego świra – prawdopodobnie założył w międzyczasie kostium swojego superbohatera.

Z żółto-zielonego akrylu.

Z uszami z futerka.

Odebrała.

Ona: CO?

On: TWOJA SIOSTRA SPAŁA ZE MNA! ZA CZTERYSTA EURO!

[klik... tuuut]

Do dziś jeszcze umieram ze śmiechu. Do czegoż to urażona duma może skłonić takiego misiaczka...

Ale niczego go to nie nauczyło, o czym świadczy esemes, który dostałam od niego kilka miesięcy później, akurat gdy wsiadałam do samochodu. Zaparkowałam na chwilę przy targu, w miejscu gdzie był zakaz zatrzymywania się.

No, miałaś szczęście, niemalże mandacik ;-)

A ty niemalże pałeczką po łepczku, słoneczko!

## Złote jądro

W 2003 roku pracowałam u pewnej rodziny. Ojciec miał pięćdziesiąt, matka trzydzieści lat. Mieli dwoje dzieci, dziewięcioletniego syna i dziesięcioletnią córkę. Czasem też opiekowałam się nimi.

Ona oczekiwała właśnie trzeciego dziecka. Dlatego postanowili odnowić dom. Ich sąsiad miał na imię Dirk i był rzemieślnikiem. Pomagał im w remoncie. Oczywiście na czarno.

Tak zaoszczędzili pieniądze, które lepiej zainwestować w urządzenie nowego dzieciennego pokoju niż w wysokie rachunki dla rzemieślników.

Dirk również był żonaty, również mieli z żoną dwoje dzieci i mieszkali dokładnie naprzeciwko. Gdy wracał z pracy, szybko coś zjadał i szedł potem co najmniej dwa razy w tygodniu do sąsiadów, aby tam popracować jeszcze kilka godzin przy remoncie.

Tak było już od paru miesięcy.

W pewien wtorek, rodzina była akurat w domu, znów sprzątałam.

Dirk pracował w roboczym kombinezonie na górze.

Już kilkakrotnie się widzieliśmy i zawsze zamienialiśmy parę miłych słów. A potem każde szło do swoich zajęć.

Także i tym razem przez chwilę porozmawiałam z Dirkiem. Zapytałam go, kiedy skończy i czy mu dobrze idzie. Potem życzyłam



mu miłej pracy i wzięłam się do roboty.

W którymś momencie zobaczyłam przez kuchenne okno, że pali w ogrodzie.

Otworzyłam okno i zawołałam:

– Nie wiedziałam, że palisz!

Roześmiał się, wzruszył ramionami i machnął ręką. Dla żartu pogroziłam mu palcem, również się roześmiałam i zamknęłam okno, żeby dalej sprzątać kuchnię.

Chwilę później, byłam akurat w hallu, Dirk szedł schodami na dół i przystanął za sięgającym mniej więcej do bioder murkiem, który oddzielał hall od schodów.

On: Ty też pewnie paliłaś.

Ja: Nie, ja nigdy.

On: Ach, daj spokój, na pewno!

Ja: Nie, przecież powiedziałam!

On: Znasz cygara?

Ja: Jasne, że znam cygara. Ale ich nie palę.

On: Na pewno już paliłaś jakieś cygaro!

Ja: Nie, naprawdę nie!

Zupełnie nie rozumiałam, czego ode mnie chciał. Co miała znaczyć ta gadka o cygarach? Dirk za murkiem coś tam macał, najwyraźniej szukał czegoś w kieszeni spodni.

Potem wskazał na coś za mną i zawołał:

– A co robi ten palant?

Instynktownie się odwróciłam i spojrzałam przez okno hallu we wskazanym kierunku.

Na zewnątrz jakiś starszy pan wieszał pranie w sąsiednim ogródku. Odwróciłam się z powrotem do Dirka.

– Dlaczego, co w tym złego? On przecież tylko rozwiesza pranie...

Urwałam w pół zdania, bo w tym momencie ten idiota zeskoczył ze schodów i stanął przede mną w pełnej męskiej krasie. I mam na myśli

PEŁNĄ męską krasę.

– Znasz TO cygaro?

Byłam przerażona i zde gustowana! Mogłam jeszcze tylko jęknąć: „Jesteś stuknięty!” i pobiegłam szybko do piwnicy.

Po drodze słyszałam, jak wołał za mną:

– Przynieś mi z dołu szufłę!

Potrzebowałam paru minut, żeby ochłonać, ale zostałam w piwnicy, chcąc zrobić pranie. Godzinę później słyszałam, jak zamykają się drzwi domu.

Dirk wyszedł.

Mieszka z żoną naprzeciwko. Jego dzieci przychodzą do tego domu, żeby się pobawić. Co za człowiek...

Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że już wcześniej zrobił wiele sprośnych uwag. Dwa tygodnie przed tym zdarzeniem opowiadał mi z detalami, jak przyłapał swoją żonę na zdradzie.

Jako dowód pokazał mi esemesa, który podobno napisał do niej kochanek. Na jakimś przyjęciu w ogrodzie rzekomo nagle zniknęła.

„Wszędzie jej szukałem. Potem znalazłem ją w garażu. Jak obciągała swojego kochankowi!”.

Zapytałam go wtedy, jak może mieszkać z nią nadal pod jednym dachem. Ja na jego miejscu dawno bym się wyprowadziła. Odpowiedział:

– Ze względu na dzieci.

Było mi go żal. Dziś nie jestem już taka pewna, że ta historia zdarzyła się naprawdę.

Gdy szorowałam podłogę, stawał czasem za mną i mówił:

– Jestem koneserem – kiedy widzę twój tyłeczek przy szorowaniu!

Teraz przypomi nałam sobie te momenty, które po prostu ignorowałam. I to sprawiło, że się wściekłam.

Chciałam cofnąć czas, żeby wykazać się wtedy refleksem i błyskotliwością albo przynajmniej wskazać na jego „cygaro” i głośno się roześmiać, albo cokolwiek.

Ale jeśli mam być szczerą, nie wiem, co innego w takich sytuacjach

mogłabym zrobić, niż tylko zignorować te uwagi, pominąć milczeniem.

Opowiedzieć o tym pani domu to było za duże ryzyko.

Nie byliśmy ze sobą blisko. Wysyłała swoje dzieci do Dirka, żeby tam się bawiły.

Nie wiem, czyby mi uwierzyła. Prawdopodobnie nie.

Wtedy straciłabym miejsce pracy i jeszcze zostałabym polską wywłoką.

Dirk na pewno by się nie przyznał.

Mogłam na tym tylko stracić.

Od tego czasu nie widziałam Dirka. Nie wiem, czy schodził mi z drogi, czy to był przypadek. W każdym razie jestem wdzięczna, że nie musiałam więcej oglądać jego durnej facjaty.

Ani „cygara”.

Czasem ludzie pytają, dlaczego na to wszystko pozwalam. Nie rozumieją.

To jest praca.

To po prostu jeden z jej elementów.

Gdybym rzucała pracę za każdym razem, gdy ktoś mi nadeptnie na odcisk, obrazi mnie albo zaczepi, nie mogłabym z niej żyć.

Oczywiście, to nie pozostawia człowieka obojętnym.

Oczywiście, czasem już tego za wiele.

Oczywiście, zdarza się, że ktoś przekroczy granice.

Ale mnie jest dobrze. Mam pracę. Spotykam też wielu interesujących i miłych ludzi, od których mogę się uczyć.

Nie muszę głodować, moje życie nie jest zagrożone, nie muszę zaspokajać tłustych, spoconych frajerów i mogę żyć w kraju, który mi się podoba.

Jeśli muszę w zamian znosić kilku idiotów, cóż to takiego.

Jestem wolna.

## Twój mąż zajaczek

Dla większości Polaków gej to rodzaj zwyrodnialca, coś obrzydliwego i nienaturalnego. Wierzy się, że geje muszą po śmierci iść wprost do piekła. Nawet myśl o dotknięciu geja albo zostaniu przez niego dotkniętym budzi wstręt.

Chociaż wielu księży to geje, Kościół katolicki w Polsce nieustannie jest jawnie przeciwny miłości osób tej samej płci.

Jak wszędzie.

Tylko że w Polsce większość mu jeszcze wierzy.

Ja też wierzyłam.

Nie znałam żadnych gejów. W każdym razie nie zadeklarowanych.

Byłam akurat na zakupach w supermarkecie, gdy usłyszałam dzwonek komórki. Niski głos przywitał mnie przyjaźnie:

On: Dzień dobry, dała pani ogłoszenie do gazety. Szukam kogoś, kto u mnie posprząta.

Ja: Chętnie. Jak duże jest mieszkanie?

On: Sto trzydzieści metrów kwadratowych – myślę, że raz w tygodniu przez trzy godziny wystarczy. Nie zawsze wszystko musi być wysprzątane. Nie jestem w domu zbyt często.

Ja: W porządku.

On: Ile pani bierze?

Ja: Osiem do dziesięciu euro.

On: Dobrze, to powiedzmy dziewięć, w porządku?

Ja: Jasne. Dokąd mam przyjechać?

Kilka dni później weszłam do domu człowieka, który dzwonił.

I zaniemówiłam z wrażenia.

Tak pięknego mieszkania jeszcze nigdy nie widziałam. Zajmowało prawie całe piętro starego budynku z 1904 roku. Wiem to tak dokładnie dlatego, że data została wyryta na kamieniu nad drzwiami wejściowymi.

Już wejście do domu było spektakularne: na ścianach po prawej i lewej stronie wiły się bujne stiukowe girlandy kwiatów, trzymane przez nieubrane, wytwornie wyglądające postacie kobiet.

Klatka schodowa była przestronna i jasna, ze schodami z białego marmuru.

Czułam się jak w pałacu.

To uczucie jeszcze się pogłębiło, gdy weszłam do mieszkania.

Ta przestronność. Wysokie sufity, duże stare okna, przepiękna drewniana podłoga.

Na ścianach duże nowoczesne obrazy.

Niewiele gustownych, wyszukanych, nowych mebli.

Wszystko świeżo wyremontowane, bez rys i plam.

Chociaż nie jestem fanką starego budownictwa, a Gargamel odebrał mi resztkę sympatii do takich domów, byłam po prostu pod wrażeniem.

Tak, tu chętnie bym posprzątała.

Właściciel mieszkania przedstawił się jako Christian. Szcupły, wysoki, dobrze wyglądający mężczyzna tuż po trzydziestce. Z krótkimi kasztanowymi włosami. Kiedy się śmiał, jego otwarte, brązowe oczy jak guziki prawie zupełnie znikwały. A śmiał się często.

Był doradcą i dużo podróżował. Dlatego potrzebował kogoś do sprzątnięcia, prania i prasowania.

Rozejrzałam się po mieszkaniu. Wszędzie było czysto i panował porządek, tak że nie wiedziałam, gdzie miałabym jeszcze posprzątać.

– Proszę nie dać się zwieść, akurat zdążyłem wszystko ogarnąć i wyszorować. Zazwyczaj wygląda to inaczej.

Miał rację, i to jak...

Gdy przyszedłam do sprzątnia pierwszy raz, w całym mieszkaniu leżały porozrzucane ubrania. Rośliny pokojowe uschły i trzeba je było natychmiast wyrzucić.

Na jadalnianym stole stał zmumifikowany bukiet kwiatów.

Przed łóżkiem leżało zwalone na kupę pranie do uprasowania: koszule, T-shirty, bielizna, spodnie – wszystko przemieszane.

Podłoga w kuchni wyglądała tak, jak gdyby ktoś ubłoconymi butami chciał namalować jakiś wzór, z kosza wysypywały się śmieci, a w pralce najwyraźniej już od kilku dni butwiało niewyjęte pranie.

Od tego czasu nazywałam Christiana już tylko Mr Chaos.

Uważał, że to zabawne.

Wiele komunikowaliśmy się esemesowo, ponieważ niemal cały czas był w drodze.

Latał po Europie i doradzał menedżerom, „jak się szefuje” – tak mi wyjaśnił.

Nie wiedziałam, że jest na to zapotrzebowanie.

To tak jakby trzeba było objaśniać piekarzom, jak się piecze.

Z drugiej strony: być może ja mogłabym tłumaczyć sprzątaczkom, jak się sprząta. To interesujący pomysł na biznes...

Jak inni, do których chodzę sprzątać – Christian dał mi klucze już po wstępnej rozmowie. Wtedy jeszcze nic nie wiedziałam o jego ekskluzywnym zajęciu. Zastanawiałam się tylko: „O co tutaj chodzi?”.

I na początek zaczęłam sprzątać.

Kiedy składałam leżące dookoła czyste ubrania i chowałam z powrotem do szafy, wypadła żółta samoprzylepna karteczka, na której było napisane:

Jesteś mężczyzną moich marzeń.

Kocham cię!

Twój mąż zajączek

Gapiałam się na ten kawałek papieru. Czytałam te linijki wciąż od nowa.

Było tam napisane „mężczyzna” i „mąż”, czy wzrok mnie mylił?

Zastanawiałam się, czy czegoś źle nie zrozumiałam.

Jakiś niemiecki idiom?

Nieznany zwrot?

Jeszcze raz sprawdziłam gramatykę. Bardzo powoli.

Zastanowiłam się.

I znów przeczytałam.

...

Był gejem?

ON?

Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie gejów. Raczej jako ciotowate, histeryczne, nadpobudliwe typy. Bardziej kobiece. Z odgiętą dłonią w nadgarstku i błyszczkiem na ustach.

Takich jak homoseksualny Indianin w *Bucie Manitou* albo Brisko Schneider z cotygodniowego programu *Wochenshow*. Ale Mr Chaos nie miał w sobie nic z kobiety.

Dziś trudno mi się nie śmiać z mojej naiwności.

Mr Chaos polecił mnie innym.

Tymczasem sprzątam u trzech gejowskich pareczek.

Ani jeden z tych gejów nie przypomina Brisko Schneidera.

Jest wśród nich nauczyciel, lekarz, menedżer, a jeden ma kwiaciarnię.

Każdy jest inny. Żaden nie pasuje do stereotypu.

Geje niekoniecznie są lepszymi ludźmi, ale z pewnością też nie są gorszymi. Są po prostu zupełnie normalni.

Cokolwiek oznaczałoby słowo „normalny”...

Geje są zupełnie normalni.

Kolejne przekonanie, którego nie zdobyłabym, gdybym nie sprzątała.

Po pięciu latach Mr Chaos i ja jesteśmy w bardzo przyjacielskich stosunkach.

Jest jednym z moich ulubionych klientów.

Mr Chaos pomaga mi w wielu rzeczach. Przede wszystkim mnie słucha. Już to, że ma się doradcę do doradzania, jest wspaniałe.

Często ofiarowuje mi koszule, buty, T-shirty i garnitury, których nie używa, dla mojego męża albo innych znajomych Polaków.

Wyjątkową frajdę sprawia nam pisanie ironicznych esemesów. Mr Chaos ma podobnie czarny humor jak ja i często głośno się śmieje, kiedy czytam krótkie wiadomości od niego.

Gdy powiedziałam mu o „facie od piersi”, Franku, była akurat Wielkanoc, i Mr Chaos zostawił mi śliczny koszyczek na kuchennym stole. Znalazłam go we wtorek przed świętami. Było w nim pięćdziesiąt euro i słodycze.

Napisałam więc esemesa, który dotarł do niego gdzieś w Europie:

Witaj Mr Chaos. Dziękuję za wielkanocny prezent!”.

Zwrotną pocztą przyszła odpowiedź.

Mr Chaos: Sprzątasz czy znów tylko piszesz esemesy? A pokazałaś już sąsiadom biust?

Ja: Nie, później to zrobię. Teraz po prostu sobie leżę. I tak nie ma co robić, wszędzie superczysto i posprzątane, jak zwykle u ciebie!!!!

Mr Chaos: Wiem! A widziałaś już balkon? Posadziłem...!!! Ta roślina, którą mi dałaś, potrzebuje więcej wody i to chyba był problem.

Ja: Tak, widziałam. Pięknie! Ale wiesz, te nowe rośliny też na pewno nie będą chciały za długo u ciebie mieszkać...

Mr Chaos: Bez komentarza...

Ja: I zacznij w końcu zdejmować w domu buty!!! Podłogi wyglądają, jak gdyby od lat nikt ich nie mył!!!

Mr Chaos: Aha. I kto to mówi????!!!

O tym, że „facet od piersi” stał się dla nas kimś na kształt kultowej



postaci, świadczy następująca wymiana esemesów innego dnia:

Ja: Witaj, Mr Chaos! Mogę przyjść dopiero w piątek? Muszę jeszcze posprzątać w innym miejscu.

Mr Chaos: Co z tego będę miał?

Ja: Mogę ci pokazać piersi. I to gratis. Albo, niech będzie, za dwadzieścia euro.

Mr Chaos: Piętnaście.

Ja: Szesnaście.

Mr Chaos: Kupione!

Mr Chaos, doradca menedżerów, kiedyś mi wyjaśnił:

– Jeśli się dowcipkuje na temat urazów, których się doświadczyło, to albo się je wyparło, albo przewyciężyło.

Wierzę, że w tym wypadku chodzi o to drugie.

## Pani Pudło

**M**r Chaos nie jest jedynym klientem, z którym łączą mnie bliskie kontakty. Jest też jeszcze „Pani Pudło”.

Małżeństwo adwokatów nie tylko wspiera mnie we wszystkich kwestiach prawnych, lecz także wysłuchuje, gdy znów mam kłopoty.

Pani Pudło to żeńska połowa tej pary. Wprawdzie pana Pudło też bardzo lubię, ale po prostu spotykamy się nie tak często. Domem zajmuje się raczej jego żona.

Jestem tam trzy razy w tygodniu, w poniedziałki, środy i piątki.

Godziny się zmieniają – zależnie od tego, co jest do zrobienia.

Mogę zupełnie samodzielnie decydować, co i kiedy robię.

Tu naprawdę obowiązuje określenie zawodowe „menedżerka domowa”.

Pani Pudło skończyła czterdziestkę, jest szczupła, wysoka i ma włosy blond. Widać, że ważne są dla niej ruch i świadome życie.

Dbą także o wygląd.

A mimo to jest pewien powód, dla którego zyskała takie przezwisko.

Oboje mają wielki przepiękny dom.

Ale wszędzie stoją skrzynie i pudła.

Żyją, sięgając praktycznie po wszystko do pudeł.

Wciąż mam nieczyste sumienie, gdy sprzątam, ponieważ stoi tam

naprawdę tak wiele kartonów, że nie wszędzie mogę się dostać.

Jak gdyby nieustająco się przeprowadzali. W pudłach przechowują cały dobytek: stare rzeczy, ścierki, kostiumy karnawałowe, serwetki, żywność, ozdoby choinkowe.

Listę tego, co jeszcze jest w tych pudłach, pani Pudło na pewno trzyma w jakiejś skrzyneczce. Stoją te wszystkie pudła luzem i bez żadnego planu przesuwa się je to tu, to tam po całym mieszkaniu.

Pani Pudło nazywa je „ruchomymi szufladami”.

Wygląda to jak groch z kapustą.

Ale jest przynajmniej czysto.

Można by jednak po prostu kupić szafę...

Pani Pudło i ja śmiejemy się serdecznie z tej pudłomanii. Ona zawsze mówi:

– Mamy za mało miejsca.

Dlatego niedawno zapytałam, czy utrzymywałyby większy porządek, gdyby mieli większy dom.

– Tak, jasne! – wyskoczyło z niej.

Nie mogłam się jednak głośno nie roześmiać z jej skonsternowanej miny, gdy sama zauważyła, że wprawdzie powiedziała „tak”, ale pokręciła przy tym przecząco głową.

Ciało zdradza czasem więcej niż słowa, których się używa.

Bardzo wyrafinowana jest także „technika sprzątania” pani Pudło. Gdy ktoś ma przyjść z wizytą, po prostu wciska wszystko do jednego pokoju i zamyka drzwi.

Proste rozwiązania to jej znak firmowy.

I mnóstwo ludzkich odruchów. Jest bardzo wrażliwa i postrzega każdego bez jakiegokolwiek arogancji związanej z pozycją społeczną. Równie swobodnie i pragmatycznie jak porządek traktuje też wszystko inne w życiu.

Naprawdę delikatni ludzie nie są na nic za delikatni.

Gdy kiedyś u niej sprzątałam, wpadło mi w oko, że na parapecie długiego panoramicznego okna salonu na dużej powierzchni są ptasie odchody. Postanowiłam usunąć je zaraz, gdy skończę z łazienką.

Ale kiedy w końcu nadciągnęłam z wiadrem i szmatą, zobaczyłam, że pani Pudło już stoi przy oknie i sama wyciera ptasie resztki pokarmowe.

Chociaż w domu była sprzątaczką.

To są niby drobne gesty, ale właśnie one pokazują prawdziwą naturę człowieka.

O moim ślubie nie opowiadałam żadnemu z klientów oprócz Mr Chaosa oraz pani Pudło i jej męża. W podawaniu prywatnych informacji jestem bardzo powściągliwa. Praca to praca, a życie prywatne to życie prywatne.

Pani Pudło była zachwycona.

Ona: Och, WSPANIALE! Co mamy ci podarować? Czego byście sobie życzyli?

Ja: Nic nam państwo nie muszą dawać.

Ona: Ale to oczywiste, że wam coś podarujemy! Tylko co chcielibyście mieć? A może lepiej pieniądze? Czy w Polsce daje się pieniądze w prezencie?

Ja: No tak, powiedzieliśmy wszystkim, że chcemy tylko pieniądze – w przeciwnym razie jest w Polsce tak, że dostaje się osiem żelazek, pięć mikserów i dwie pralki. To pieniądze na nasz miesiąc miodowy.

Ona: No to super! Trzeba te pieniądze w coś...

Ja: Tak, zwykle ustawia się takie pudło. Tam goście wrzucają pieniądze.

Ona: No, na pudłach to ja się znam! Zrobię ci skarboneę na pieniądze!

Uznałam to za pierwszorzędnny pomysł: pudło od pani Pudło!

A kto myśli, że to zbyt nudne i zwyczajne, jest w błędzie. Pudło od pani Pudło to nie jest po prostu zwykłe pudło...

Była absolutnie zachwycona i wprawiła w ruch całą maszynę.

Najpierw kupiła kostium pirata dla mojego męża i poprosiła mnie,

żeby następnym razem przyniosła dwie nasze fotografie, na których on miałby ten kostium, a ja bikini.

Obrobiła potem te zdjęcia na komputerze tak, że wyglądałam, jak gdybym była syreną leżącą na plaży. Mój mąż, pirat, stał za mną i patrzył przez długą lunetę na pełne morze. Zupełnie jakby chciał znaleźć Wyspy Miodowego Miesiąca. I taki obrazek nakleiła na małą czarną skarbonkę.

Byłam tak wzruszona tym kreatywnym prezentem, któremu poświęciła tyle uwagi, że z początku zupełnie nie odkryłam stu euro, włożonych do środka.

Tak wielkodusznego wkładu w naszą podróż poślubną w ogóle się nie spodziewałam.

Skrzynka sama w sobie zrobiła na mnie dostatecznie duże wrażenie. Do dziś stoi u nas na regale.

Uważność i staranie charakteryzują też sposób, w jaki pani Pudło traktuje dwójkę swoich dzieci. To chłopiec i dziewczynka w wieku siedmiu i dziesięciu lat.

Chociaż pracuje na pełny etat, przychodzi w porze obiadowej do domu i gotuje dla obojga. Zawsze świeże rzeczy, nigdy gotowe czy mrożone dania.

Obydwoje dzieci to bardzo mili, wrażliwi i kochani mali ludzie. Uważam, że to, jak pani Pudło uczy ich szacunku i zainteresowania dla innych, można uznać za wzorcowe.

Gdy w domu są goście, tych dwoje wychodzi ze swoich pokoi i wita się z nimi. Tak samo się żegna.

Pani Pudło uważa na to, by również mnie traktowali jak osobistego gościa tego domu.

Gdy któregoś razu szli pobawić się do przyjaciół i zapomnieli się ze mną pożegnać, zawołała ich z powrotem i powiedziała:

– Powiedzcie Justynie „cześć”.

Byłam bardzo wzruszona, gdy tych dwoje wtedy do mnie podbiegło, żeby rzucić mi się na szyję i wyszeptać do ucha: „Cześć, Justyna”.

Tego się nie spodziewałam.

Wyczarowało mi to na twarzy uśmiech, który nie schodził z niej przez cały dzień.

## Przydatne wskazówki na temat sprzątania

Często słyszę pytanie, czy podałabym kilka wskazówek, jak sprzątać. Jak umyć okna bez pozostawiania smug, jaki środek do mycia działa najlepiej albo co trzeba zrobić, żeby sprać plamy z czerwonego wina.

Co ciekawe, traktuje się mnie jak autorytet w sprawach czystości. Chociaż nigdy nie studiowałam...

Nie wiem, czy potrafię sprostać temu oczekiwaniu. Ale po dziesięciu latach zawodowego sprzątania z pewnością jestem niemal specjalistką w tej dziedzinie.

Choćby dlatego, żeby sobie samej ułatwić pracę.

Dlatego chętnie podzielę się z państwem kilkoma sposobami na sprzątanie. Więcej znajdziecie na mojej stronie internetowej:

[www.Putzen-mit-Justyna.de](http://www.Putzen-mit-Justyna.de)

# Jak bezstresowo sprzątać – rady Justyny

## 1. Zabrudzone ramy okienne

Zauważyłam, że wielu moich klientów wprowadzie myje okna, ale pomija ramy. Żeby całe okno znów wyglądało jak nowe, zanim zabiorę się do szyb, myję ramy. I to mleczkiem do szorowania. Usuwa ono brud i przebarwienia, pozostawia powierzchnie w dobrym stanie.

## 2. Okna

Wszyscy chcą mieć szyby bez smug. To doprowadza wielu do rozpacz, a nie jest wcale takie trudne do uzyskania. Trzeba po prostu dodać do wody do mycia okien trochę octu albo alkoholu i na koniec wytrzeć je do sucha starą gazetą albo papierowym ręcznikiem. Często smugi pozostają dlatego, że ścierki są brudne (patrz punkt 9.). Środek do mycia okien można poza tym łatwo wyprodukować samemu: trzeba kupić butelkę z atomizerem (1000 ml) i napełnić ją do połowy wodą. Dodać łyżkę stołową płynu do mycia naczyń, 60 ml czystego alkoholu i 80 ml octu. Potem dopełnić butelkę wodą. Płyn do mycia okien jest gotowy.

## 3. Zlewy ze stali nierdzewnej

Plamy i resztki osadu wapiennego usuwa się ze stali nierdzewnej najlepiej, jeśli się natrze powierzchnię obierkami ziemniaków i wypoleruje miękką ściereczką. Brzmi być może trochę obrzydliwie, ale to sposób całkowicie przyjazny dla środowiska i skuteczny od wielu pokoleń.



## 4. Armatura

Mój środek z wyboru: cola. Ten słodki napój musujący zabiera ze sobą brud, ale nie niszczy powierzchni jak niektóre chemiczne środki czyszczące. Potem trzeba po prostu spłukać go letnią wodą, w przeciwnym razie powierzchnia się klei...

## 5. Plamy

Ważne, by wiedzieć, z czego plamy powstały. Czy jest w nich tłuszcz? A może białko? Zależnie od tego dobiera się metodę. Poza tym trzeba wybrany sposób wypróbować najpierw w jakimś niewidocznym miejscu ubrania. Na wypadek, gdyby coś się miało przebarwić albo rozpuścić. Zasadniczo obowiązuje zasada: świeże plamy lepiej schodzą niż wyschnięte. Dlatego trzeba działać szybko.

### 5a. Pomadka do ust

Pomadka zawiera tłuszcz. Dlatego przed praniem trzeba na zabrudzoną część (nigdy na jedwab ani na wełnę) delikatnie nanieść, za pomocą szmatki czy watki, albo środek do czyszczenia rozpuszczający tłuszcz, albo czysty alkohol bądź amoniak. W żadnym wypadku nie można trzeć plamy, w ten sposób wetrze się ją jeszcze głębiej w tkaninę. Potem po prostu uprać zgodnie z oznakowaniem na wszywce. Moja matka przysięga, że jeszcze skuteczniejszy jest lakier do włosów: spryskać, odczekać kilka minut, a potem wytrzeć suchą ściereczką, spłukać czystą wodą i uprać zgodnie z instrukcją na wszywce.

### 5b. Lakier do paznokci

Lakier schodzi stosunkowo łatwo. Używa się do tego po prostu zmywacza do paznokci i wyciera nim plamę z tkaniny. Jeśli trzeba to zrobić delikatniej, można też zastosować następujący trik: napiąć kawałek z plamą na małej miseczce, przymocować gumką. Potem powoli skrapiać plamę niewielką ilością zmywacza do paznokci albo nalewać go łyżeczką i lekko wetrzeć palcem. Następnie uprać zgodnie z instrukcją na wszywce.

### 5c. Płynny podkład (fluid)

Na to mam sposób, który był stosowany już podczas drugiej wojny

światowej. O mydło było wtedy trudno i kładło się zabrudzone ubranie po prostu na trawie. Następnego ranka plamy nie było. Nie pytajcie mnie, jak to się dzieje, ale działa. Jeśli komuś to nie odpowiada, może też użyć odrobiny rozpuszczającego tłuszcz płynu do mycia naczyń, który bardzo dobrze działa na wszystkie tłuste plamy. Potem uprać zgodnie z instrukcją na wszywce.

#### 5d. Farba do włosów

Farba do włosów zazwyczaj jakoś znajduje sposób, by znaleźć się na bluzce albo na ręczniku. Niezależnie od tego, jak bardzo się uważa. Dlatego do farbowania najlepiej zakładać stare rzeczy i używać ręczników w kolorze podobnym do farby. Bo te plamy są najgorsze. Ale jeśli trzeba je usunąć, można tak długo nasączać je z watki czystym alkoholem, terpentyną albo benzyną oczyszczoną, aż przebarwienie zniknie. Pomaga modlitwa.

#### 5e. Krew

Plamy z krwi zawierają białko. Dlatego do ich usunięcia nie potrzeba substancji rozpuszczających tłuszcz. Najlepiej polewać je wodą mineralną, jeśli krew jest jeszcze świeża. Pralka załatwia później resztę. Przy zaschniętej krwi sprawa wygląda inaczej. Pomaga tu perhydrol (woda utleniona), który nanosi się bezpośrednio na plamę. Ale uwaga, materiał może się odbarwić. Alternatywnie można plamę z krwi nasączyć mieszanką lodowatej wody z łyżeczką środka do prania o neutralnym pH. Potem trzeba wymieszać łyżeczkę amoniaku z lodowatą wodą i powtórzyć zabieg. Trzecim krokiem jest czyszczenie czystą lodowatą wodą.

#### 5f. Masło

Masła nie wolno nigdy zmywać czystą wodą przed praniem. Plama byłaby tylko jeszcze trudniejsza do usunięcia. Lepiej najpierw zeszkrobać nożem nadmiar masła i wetrzeć w plamę pastę złożoną z proszku do prania, płynu do mycia naczyń i wody. Potem uprać. Można też wypróbować amoniak, benzynę oczyszczoną i lakier do włosów. Moja matka przesyła pozdrowienia.

#### 5g. Fekalia

Fekalia, ludzkie i zwierzęce, usuwa się najlepiej roztworem dwóch łyżeczek amoniaku rozpuszczonych w szklance wody. Trzeba nasączyć tym plamę za pomocą watki, a następnie zmyć zimną wodą. Jeśli plama uporczywie się trzyma, należy po prostu powtórzyć zabieg kilka razy. Ślady, które domowe zwierzaki zostawiły na dywanie albo sofie, czasem intensywnie pachną. Wówczas wspaniałym i tanim rozwiązaniem jest zwykły proszek do pieczenia. Posypuje się nim śmierdzącą plamę, zostawia na noc i odkurza następnego ranka. Znika wówczas również zapach. A to wyjątkowo ważne, ponieważ koty lub psy mają o wiele czulszy zmysł węchu niż my, ludzie. I mają zwyczaj wracać w to samo miejsce...

#### 5h. Wosk

Wosk, który zastygł na obrusach, serwetkach albo ubraniu, usuwa się w kilku etapach. Najpierw plamę trzeba schłodzić tak, żeby całkiem zastygła i nie dawała się rozsmarować. Można do tego użyć na przykład kostek lodu albo torebki z lodem. Wówczas najgrubszą część plamy zeskrobujemy kartą do bankomatu albo nożykiem do ryb. Nigdy nie należy używać do tego ostrego noża, gdyż można nim uszkodzić materiał. Gdy usuniemy nadmiar wosku, potrzebujemy żelazka i kilku papierowych ręczników.

Jeden papierowy ręcznik wkładamy pod zaplamiony materiał, drugi układamy na nim. Potem prasujemy gorącym żelazkiem (uwaga: nie bardziej gorącym, niż pozwala materiał!) tę papierową kanapkę. Wosk się topi i wchłania go papierowy ręcznik. Zabieg powtarzamy tak długo, aż na prasowanych ręcznikach nic nie widać. Jeśli wosk jest barwiony, w materiale pozostaje jeszcze barwnik. Kolorową plamę trzeba wywabić przed praniem. A potem uprać daną rzecz zgodnie z instrukcją na wszywce.

Jeśli chcemy oczyścić z wosku szklane lub metalowe świeczniki, bardzo skuteczny jest następujący sposób: rozgrzewamy piekarnik do temperatury 50–80°C, wykładamy blachę papierowymi ręcznikami i ustawiamy na nich szklane lub metalowe świeczniki do góry dnem. Mniej więcej po dwóch godzinach wyjmujemy. Wosk spłynie na

papierowe ręczniki. Można też od razu uniknąć przywierania wosku, jeśli wlejemy do świecznika trochę wody lub wsypujemy odrobinę piasku, a dopiero potem włożymy świeczkę.

## **6. Kurz**

Kurz nie jest niczym złym. Osiada wciąż na nowo. Nic na to, niestety, nie można poradzić. Ale zazwyczaj można go bez trudu zetrzeć. Tam, gdzie nie idzie to łatwo, na przykład w wypadku kryształowych żyrandoli albo sztucznych kwiatów, robi się to sposobem. Odkurzając kryształowe żyrandole, można na miotełkę z piór naciągnąć starą bawełnianą skarpetkę i spryskać całość środkiem do mycia szyb. Potem ostrożnie z drabiny wytrzeć tym kryształy. Aby wyczyścić zakurzone kwiaty z jedwabiu, wkładamy je do papierowej torby, do której wcześniej wsypujemy dostatecznie dużo soli albo piasku do dekoracji. Potem dokładnie ściskamy torbę u góry i energicznie potrząsamy. Wówczas kurz oddzieli się nawet w trudno dostępnych kąciach.

## **7. Zapach do odkurzacza**

Zapachy do odkurzaczy to nowa maszynka do robienia pieniędzy dla firm zajmujących się środkami czystości. Wiele z nich oferuje wkłady zapachowe, których można użyć, żeby uniknąć nieprzyjemnego zapaszku. Lepiej zaoszczędzić pieniądze i posypać podłogę w kuchni kawą albo cynamonem, a potem odkurzyć. Pachnie równie dobrze, jest całkowicie nieszkodliwe dla środowiska i prawie nic nie kosztuje.

## **8. Szafki kuchenne**

Szafki kuchenne z czasem obrastają tłuszczem. Nie stają się przy tym większe, tylko bardziej lepkie. Wprawdzie fronty łatwo umyć, ale na górze, na szafkach, nie zawsze jest to takie łatwe. Ale jest na to sposób: trzeba po prostu ułożyć tam kilka warstw gazet albo papierowych ręczników. To wchłonie cały tłuszcz i przy okazji kurz. Papiery trzeba wymieniać co dwa miesiące, a wszystko pozostanie czyściutkie i jak nowe.

## **9. Ścierki do sprzątnia**

Ścierki albo gąbki do sprzątanania są nierzadko słabym punktem tego zajęcia. Niektórzy używają ich tygodniami, zakładając, że same się oczyszczą. Ale, niestety, tego nie robią. Przeciwnie. Przez dni i tygodnie mnożą się na nich bakterie. Nie jest to wprawdzie żaden dramat, z czasem jednak brud zostawia rodzaj warstewki śluzu. Na gładkich powierzchniach powstają smugi. Dlatego po każdym sprzątaniu piórę gąbki, ścierki z mikrowłókien itp. W 60 albo 90°C. To zabija bakterie i nie powstają smugi.

## **10. Koty**

Koty można znaleźć pod łózkami, szafami i sofami. To te skłębione garście kurzu, które powstają, jeśli się go nigdy nie wyciera. Problemem jest to, że są wylęgarnią roztoczy, odżywiają się nimi karaluchy, a od czasu do czasu fruują nad łóżkiem i w mieszkaniu. Dlatego należy regularnie odkurzać pod łózkami, zdejmując po prostu szczotkę z odkurzacza i wsuwając rurę pod spód.

## **11. Osad**

Osad lubi odkładać się na ściankach prysznic i zlewach. Dlatego po wzięciu natrysku należy za każdym razem wytrzeć płytki i armaturę ściereczką z mikrowłókien. Wówczas wszystko będzie wyglądać tak jak pierwszego dnia. Jeśli to dla kogoś zbyt męczące, może zabezpieczyć glazurowane powierzchnie woskiem do samochodów. To zamyka pory, a woda spływa, perląc się. Wówczas nie pozostają też plamy. Zabieg należy powtarzać co kwartał. Na osad pomaga ocet, ale w wypadku niektórych armatur jest zbyt agresywny – uchwyty matowieją. Zamiast niego można użyć kwasu cytrynowego. Jest łagodniejszy i można go kupić w postaci proszku w każdym sklepie spożywczym.

## **12. Wiadro na śmieci**

Wiadra na śmieci cuchną, jeśli się ich zbyt długo nie opróżnia. To wie każde dziecko. Ale i tak często się o tym zapomina. Najprostszym rozwiązaniem jest częściej wyrzucać worek ze śmieciami. Jeszcze zanim się cały napełni. Wiele worków jest biodegradowalnych i można je wyrzucać bez zastanowienia. Wyróbmy sobie nawyk mycia wiadra na

śmieciami płynem do mycia naczyń przy każdej zmianie worka, żeby nic tam nie butwiało. Pozwoli to zaoszczędzić na drogich zapachach do koszy.

### **13. Srebro**

Zaśniedziały srebro nie trzeba skrupulatnie czyścić drogimi środkami. W tej sytuacji palacze mają przewagę: mogą zwilżyć bawełnianą ściereczkę, zanurzyć ją w popiele papierosowym i polerować nią srebro. Przebarwienia znikają. Potem trzeba polerować je jeszcze raz do czysta. Gotowe. Do srebrnej biżuterii lubię używać następującego domowego środka: rozpuszcza się łyżkę pasty do zębów w mleku i do tej „marynaty” wkłada się na godzinę biżuterię do wyczyszczenia. Potem myje się ją i pozostawia do wyschnięcia. Błyszczą znów jak nowa.

### **14. Kamień po urynie**

Kamień po urynie osadza się z czasem w sedesie i tworzy bardzo nieładne plamy. Powstają one przez dłuższy czas i dlatego trzeba je też długo usuwać. Nasączamy kilka warstw papierowych ręczników czystym octem. Dokładnie wykładamy nimi zabrudzone miejsca. Potem ręczniki przez kilka godzin co jakiś czas nasączamy octem. Najlepiej pozostawić je na noc. Następnie zdejmujemy ręczniki i rozmoczony kamień szorujemy twardą szczotką do paznokci. To powinno rozwiązać problem.

### **15. Grzyb**

Zamiast zwalczać pleśń, lepiej zapobiegać ich powstaniu. Dlatego wilgotne pomieszczenia zawsze trzeba dobrze wietrzyć, ponieważ grzyb tworzy się w ciepłych, wilgotnych miejscach. Na grzyb, który już powstał, pomaga całkiem prosty środek: mieszamy w jednakowych proporcjach wodę i nadtlenek wodoru z farby do włosów. Mieszaną napełniamy butelkę z atomizerem i rozpylamy roztwór na grzyb. Nie wycieramy, tylko zostawiamy. W razie potrzeby zabieg powtarzamy. Wodór rozjaśnia plamy. Ale trzeba uważać, jeśli ściany są kolorowe. Lepiej więc regularnie wietrzyć.

## **16. Przypalenia**

Przypalone patelnie i garnki trudno doczyścić. Łatwiej zabrudzone w ten sposób garnki natychmiast (póki jeszcze są ciepłe) napełnić wodą i postawić na jeszcze gorącej płycie kuchenki. Można dodać parę kropel płynu do mycia naczyń. Całość odstawić na godzinę. Później odkrobać resztki drewnianą lub plastikową szpatułką. Tam, gdzie to możliwe, zeszkrobać resztki watą stalową. Można też użyć ługu albo proszku do pieczenia, ale powodują one przebarwienia na aluminium, dlatego lepiej najpierw spróbować w niewidocznym miejscu, jak zadziałają.

## **17. Aluminium**

Aluminium przebarwia się też, jeśli na przykład doda się soli do wody, zanim ta się zagotuje. Tak powstałe plamy można usunąć mieszanką z łyżeczki octu spożywczego albo dwóch łyżeczek proszku do pieczenia wsypanych do litra wody. Rozgrzewamy płyn w garnku i gotujemy na wolnym ogniu, aż przebarwienie zniknie.

## **18. Dywany**

Dywany najlepiej czyścić, jeśli się je najpierw na sucho wyszoruje szczotką ryżową. To wprawdzie nie usuwa brudu, ale go odrywa. Potem łatwo można w drugim etapie dokładnie zebrać z dywanu cząstki brudu. Ten proces w większości zastępuje drogie czyszczenie szamponem. Zapaszki neutralizuje się mieszanką 250 ml boraksu (z apteki) i 500 ml mąki kukurydzianej, którą posypuje się dywan. Trzeba odczekać dwie godziny, a następnie odkurzyć. Aby zyskał piękny zapach, można potem posypać dywan pudrem do ciała. Po 15 minutach odkurzyć, a wszystko będzie pachnieć owocami leśnymi, kokosem, wanilią...

## **19. Plamy na ścianach**

Plamy na ścianach gnębią wielu moich klientów, którzy mają gładź gipsową. Zwłaszcza w starym budownictwie gładkie ściany są znowu w modzie. Gdy tylko po takiej ścianie cymkolwiek się przeciągnie, powstaje brzydki czarny ślad na białej powierzchni. Ale to żaden powód do zmartwienia. Zabrudzenie można dość łatwo zetrzeć.

Potrzebna jest do tego zwykła gumka ołówkowa – najlepiej w kolorze ściany. Trzeba nią trzeć tak długo, aż ślad zniknie.

## **20. Żaluzje aluminiowe**

Żaluzje aluminiowe wyglądają elegancko, wymagają jednak trochę pracy. Można je dobrze oczyścić mieszanką wody z kilkoma kroplami płynnego mydła lub płynu do mycia naczyń. Zwilżamy nią ściereczkę, która nie kłaczy, i przecieramy blaszki jedną po drugiej od góry do dołu. Trochę to trwa, ale daje efekty. Najlepiej regularnie wycierać po kilka, wówczas nie jest to tak denerwujące.



## Wódka i walczyk

**W** maju 2009 roku wyszłam za mąż za mojego chłopaka.

Urzędowa ceremonia odbyła się w Niemczech, wesele w Polsce.

To była udana impreza.

Typowo polska.

Zdecydowaliśmy się pobrać w Offenbach, bo nie wiedzieliśmy, czy małżeństwo zawarte w urzędzie stanu cywilnego w Polsce nie pociągnie za sobą jakichś problemów z jego uznaniem. Dla pewności udaliśmy się zatem do ratusza i poprosiliśmy, by nas zaślubiono zgodnie z niemieckim prawem.

Krąg naszych przyjaciół i rodziny był bardzo mały. Załatwiliśmy biurokratyczną część ceremonii i poszliśmy potem zjeść niewielki posiłek.

Mimo to panowała uroczysta atmosfera.

Również dlatego, że miałam już na sobie białą ślubną suknię, którą kilka tygodni wcześniej kupiłam w Polsce.

To było konieczne, ponieważ jeden z przyjaciół filmował urzędowy ślub, a później też polskie wesele. Chcieliśmy, aby po zmontowaniu wyglądało to tak, jakby wszystko „było od jednej matki”. A wszystko byłoby trochę poplątane, gdybyśmy mieli na sobie po dwie różne kreacje.

Zatem już w urzędzie stanu cywilnego byliśmy ubrani w pełny

ślubny strój. Mój mąż nosił klasyczny włoski garnitur. W szlachetnym odcieniu granatu. Taliowany. Z chusteczką w kieszonce na lewej piersi.

Wyglądał wspaniale.

Ja sukienkę zorganizowałam sobie w Polsce, po pierwsze dlatego, że tam było taniej – zapłaciłam „tylko” siedemset euro. W Niemczech kosztowałyby mnie co najmniej trzy razy drożej.

A po drugie dlatego, że niemieckie suknie ślubne tak naprawdę mi się nie podobały. Styl tutaj jest po prostu inny.

Suknie są w Niemczech krojone raczej prosto, bez fałd i niezbyt strojne.

My, Polki, włożyłybyśmy coś takiego najwyżej na plażę. Dla nas wygląda to po prostu za mało odświętnie, nie dość kosztownie. W końcu chodzi o okazję, która zdarza się raz w życiu (mam nadzieję).

Zazwyczaj suknię ślubną idzie się kupować z przyjaciółkami albo z matką. Między nami kobietami.

W moim wypadku przed przebieralnią kręcili się natomiast kompletnie znudzony ojciec oraz mój przyszły i denerwowali się tym bardziej, im częściej w niej znikiałam.

I nie powtarzało się to naprawdę wiele razy, bo już czwarta sukienka była perfekcyjna: bogato przybrana, ale nie kiczowata. Gorset ze szklanymi koralikami i rozkloszowany dół.

Moim zdaniem już w urzędzie stanu cywilnego wyglądałam jak księżniczka.

Że nią jednak nie jestem, uświadomiłam sobie nagle, gdy moja komórka oznajmiła przyjście esemesa.

Dostatecznie wcześniej zawiadomiłam klientów, że w tę środę, niestety, nie mogę przyjść do sprzątnia.

Bo muszę uczestniczyć w rodzinnej uroczystości.

Tuż przed ślubem dostałam od zatroskanego klienta esemes tej treści:

Witam, przyjdzie pani dzisiaj?

Jeśli tak, proszę opróżnić wszystkie kosze na śmieci!

Piękne życzenia ślubne...

Cóż za wycucie...

Ale to był i tak cudowny dzień.

Miesiąc później wyruszyliśmy znów w drogę do Polski, tym razem na wesele.

Ślub kościelny sobie darowaliśmy.

O powodzie trochę niezręcznie mi mówić.

To wprawdzie brzmi jak zabobon, ale uważam, że ślub kościelny bierze się tylko raz w życiu. Jedna szansa.

I nie chciałam z niej jeszcze skorzystać, zużyć jej.

Kto wie, co się zdarzy. Nie chodzi o to, że nie jestem pewna, czy kocham mojego męża i czy jesteśmy dla siebie stworzeni. Ale ślub kościelny jest dla mnie jak sytuacja, w której panowałby głód, a ja miałabym tylko jeden kawałek chleba. Wolałabym go zostawić na później.

Mogę przecież wziąć ślub kościelny z moim mężem nawet w wieku sześćdziesięciu lat.

To trochę blablaba, wiem...

Ale nie potrafię tego zmienić.

Wyjechaliśmy zatem w pewien czerwcowy piątek, osiem dni przed weselem. Nasz mały sportowy samochód był tak wypakowany, że nic nie widzieliśmy we wstecznym lusterku. Już w marcu wszystko zaplanowaliśmy, zabukowaliśmy i zarezerwowaliśmy: restaurację, jedzenie, muzykę, dekoracje i kwiaty.

Zaczęliśmy nawet chodzić na kurs tańca.

Potajemnie.

Ponieważ moja rodzina podśmiewała się z braku tanecznych talentów mojego chłopaka. Przed wszystkim matka. Na weselu chciał im wszystkim pokazać. Musiał tylko, oczywiście, wyglądać tak, jak gdyby umiał nagle i bez większego wysiłku absolutnie doskonale tańczyć... Cóż, mężczyźni.

W tym tygodniu dwa razy ciężko pracowaliśmy nad walcem i nikt o tym nie wiedział.

I byliśmy naprawdę dobrzy.

Po dziesięciu godzinach nauki w Niemczech w tygodniu poprzedzającym wesele pracowaliśmy również z polskim nauczycielem tańca, który nadał nam ostatni szlif.

Akt wagi państwowej kosztowałby mniej wysiłku.

Przed naszym gwiazdorskim występem musieliśmy jednak przeżyć wieczór kawalerski i paniński. Podobnie jak w Niemczech, tak i w Polsce jest przyjęte, żeby w przeddzień ślubu iść wieczorem do młodej pary i produkować skorupy.

Nie używamy do tego jednak porcelany, tylko pustych szklanych butelek.

Kryjące się za tym przesłanie jest jasne:

Dajcie nam coś do wypicia!

Od godziny 18.00 młoda para stoi więc przed domem i częstuje wódką.

Są też, oczywiście, napoje bezalkoholowe, cola, fanta i tonik. Do tego podaje się tradycyjne, świeże ciasto z kruszonką. Nasze było jeszcze cudownie ciepłe.

Obok stoją stoły z zimnymi przekąskami: szynką, kielbasą, serem, oliwkami, pomidorami, chlebem. Je się to rękami, popija wódką, stoi przed domem i świętuje.

Polski wieczór kawalerski jest uroczystością głównie dla dalszych przyjaciół i znajomych. Często przychodzą też zupełnie obce osoby, które też częstuje się jedzeniem i piciem.

Członkowie najbliższej rodziny zazwyczaj nie przychodzą, bo się boją, że podczas zasadniczej uczyty następnego dnia będą jeszcze zmęczeni i nie zdołają w pełni z niej korzystać.

Wówczas daje się spokój z przygrywką do głównej uroczystości, czyli z wieczorem kawalerskim.

My, Polacy, jesteśmy pragmatyczni.

Okolo północy ostatni goście wyszli. Szybko posprzątaaliśmy i położyliśmy się zaraz do łóżka, bo następnego dnia w południe musieliśmy dobrze wyglądać.

Do weselnych zdjęć.

## Polskie wesele

Fotograf przegnał nas po całej okolicy. Przez trzy godziny robiliśmy zdjęcia nad jeziorem, przy zamku, w parku, na łące, przed ratuszem. W sumie dostaliśmy sześćdziesiąt profesjonalnych ujęć. Włącznie z albumem kosztowało nas to czterysta pięćdziesiąt euro. W Niemczech znaleźliśmy ofertę na ślub w urzędzie: „sześć zdjęć za sześćset euro”.

Wybór nie był trudny.

O godzinie 17.00 zaczęło się wielkie przyjęcie.

Z obiadem.

W Polsce obiad jada się bardzo późno, jeśli wiadomo, że wieczór będzie długi.

Nasza restauracja nazywała się Toscana i wyglądała jak włoski pałac. Na ścianach namalowane krajobrazy, wszędzie kamienne wazony z kwiatami. Sala była świeżo odnowiona, a kolory promieniowały całą swoją mocą.

Na uroczystość zorganizowaliśmy zespół muzyczny: piosenkarkę, klawiszowca i gitarzystę. Cały wieczór grali polskie przeboje, a atmosfera była znakomita. Na nakrytych srebrnymi sztućkami stołach stały intensywnie różowe róże na białych obrusach.

Tego sobie zawsze życzyłam.

Jedzenia nie podaje się u nas do wyboru z menu ani w formie

bufetu, tylko stawia wprost na stole na dużych półmiskach.

Uzupełnia się je tak długo, aż ostatni gość wyjdzie.

Zawsze jest wszystko: wołowina, wieprzowina, kurczak, ryba, kluski, ryż, krokiety, ziemniaki, makaron, rozmaite warzywa, sałatki, sosy, chleb – i wódka.

Liczy się litr na gościa.

Zanim wjadą półmiski, podaje się tradycyjną zupę weselną, podobną do niemieckiej zupy makaronowej z wkładką mięsną.

Wesele zaczyna się przed restauracją. Tam zbierają się wszyscy goście wraz z młodą parą, bo to ona musi „otworzyć” salę.

Mąż przenosi oblubienicę przez próg, za nim podąża weselne towarzystwo, zespół zaczyna grać.

Goście ustawiają się w kręgu i każdy dostaje kieliszek szampana. Potem śpiewają młodemu „sto lat” i stukają się z nimi kieliszkiem.

Następnie wszyscy siadają i rozpoczyna się uczta.

Po zaspokojeniu pierwszego głodu zaczynają się tańce weselne.

Nie wiem, czy to ze zdenerwowania, czy od jedzenia, ale nagle zrobiło mi się wyjątkowo niedobrze. Również mój mąż pocił się jak byk, gdy udaliśmy się na parkiet.

Taniec z pełnym żołądkiem.

A wszyscy się przypatrują.

Koszmar.

Zespół zagrał głośniej.

Przeczekaliśmy pierwsze takty walca.

Najpierw wyczuwaliśmy muzykę.

Tego się nauczyliśmy.

Staliśmy naprzeciwko siebie i próbowaliśmy wzajemnie odnaleźć spokój w swoich oczach.

Nagle mój mąż wziął głęboki wdech, uniósł rękę na wysokość ramienia, napiął plecy i podniósł wzrok. Włożyłam swoją dłoń w jego, lekko odchyliłam tułów do tyłu i poniosła mnie muzyka.

Po sali przeszedł szept.

Wyglądaliśmy dobrze.

Zataczaliśmy na parkiecie regularne kręgi i byliśmy coraz swobodniejsi. Na twarzy mojego męża można było zobaczyć uśmiech triumfu.

Zrobiło się jak we śnie.

Po kilku minutach weszły na parkiet kolejne pary i dołączyły do nas, aż w końcu wszyscy goście kołysali się z nami w takt muzyki.

Nasz weselny walc okazał się pełnym sukcesem.

Po tańcu wróciliśmy do nakrytych na nowo stołów, na których tym razem stały zimne przekąski: ryba w galarecie, sałatki, chleb, ser, wędliny, szynka.

Zostały później zastąpione przez kawę, herbatę i ciasta.

Jedzeniu nie było końca.

Wódka lała się strumieniami.

Nie jestem jakąś szczególną fanką wódki, ale dziś nic nie zmusza mnie do picia jej w dużych ilościach.

Jednak za każdym razem gdy jakiś gość wznosił toast za młodą parę, musiałam w odpowiedzi wznieść toast za niego, wypić z nim, a potem go pocałować.

Niektórzy goście uznali za dobry żart wykorzystywanie tego zwyczaju aż do skrajności.

– Jeśli dalej będą to robić – szepnęłam do męża – zniknie mi z twarzy cały makijaż. Ale to nic, i tak zaraz spadnę pod stół...

Około północy przyszedł czas na zabawy. U nas w Polsce między innymi rzuca się welonem. Niezameżne kobiety ustawiają się półkolem, a panna młoda z zamkniętymi oczami rzuca im welon. Która go chwyci – podobnie jak przy rzucaniu bukietem – jako pierwsza wyjdzie za mąż.

Welon pochwyliła moja siostra.

Potem oblubieniec rzucał swój krawat mężczyznom.

Praktycznie złapał go chłopak siostry.

No to nie było problemu.

Po tym prognostycznym rzucaniu znów robiliśmy to, co umiemy najlepiej: jedliśmy.

Tym razem przekąskę o północy.



Konsekwentnie składa się ona znowu głównie z rozmaitych mięs i wędlin.

Na koniec goście tańczyli na kolanach. Mój ojciec był pijany tak, jak go jeszcze nigdy nie widziałam.

Krawaty i marynarki leżały pod stołami, obok nich jeden lub drugi wódczany grzesznik.

O czwartej nad ranem ktoś jeszcze zwymiotował na schodach.

Od drugiej chciał właściwie poczekać na zewnątrz na taksówkę, ale inni wciągali go wciąż z powrotem „na jednego”. Kiedyś w końcu każdy ma dość...

O piątej rano było po wszystkim.

Pod każdym względem.

Gdy wróciliśmy do domu, otworzyliśmy jeszcze mnóstwo listów i kopert, które dostaliśmy, aby później wyczerpani i szczęśliwi paść do łóżka.

Następnego dnia trzeba było pokonać jeszcze jeden etap.

Poprawiny.

## Pan Doktor

Jeden z moich klientów jest dentystą i ma własny gabinet.

Mieszka z psem Franzem w czteropokojowym mieszkaniu.

Franz jest wyżłem weimarskim, to szlachetne zwierzę.

Wyżły weimarskie długi czas miały w Niemczech złą sławę, bo były kiedyś psami gończymi oficerów SS. Ale tamte czasy już dawno minęły i te smukłe, srebrzystoszare albo czekoladowe zwierzaki o bursztynowych oczach znów stały się modne.

Pan Doktor miał oczywiście wyżła weimarskiego.

Franz właściwie pojawił się tylko „na próbę”. Najwyraźniej była to próba udana, bo od roku odkurzam co tydzień góry psiej sierści z piętnastu perskich dywanów, które Pan Doktor otrzymał w podarunku od mamy.

– Został nazwany na cześć austriackiego cesarza Franciszka Józefa (Franz-Josef). Zna go pani?

Nie, osobiście nie. Ale jestem Polką, a austriaccy cesarze sami prosili się o to, żeby wiedzę o nich długo jeszcze przekazywać u nas z ust do ust.

Ale Pan Doktor, tak czy owak, zawsze uważał mnie za trochę niedorozwiniętą.

Kiedyś znalazłam w łazience nowe ręczniki z logo hotelu sieci Kempinski.

Najwyraźniej Pan Doktor zwędził kilka przy okazji kongresu stomatologicznego. Ja jednak chciałam wiedzieć coś więcej.

Ja: Ach, skąd pan je ma?

On: Z hotelu Kempinski.

Ja: Aha...

On: Zna pani hotel Kempinski? To międzynarodowa sieć hoteli. Pięć gwiazdek plus.

Ja: Pytał mnie pan, czy znam hotele Kempinski?

On: Tak, K-e-m-p-i-n-s-k-i. To jak... No, tych też nie będzie pani znała... Hyatt? Marriott? Steigenberger?

Halo? Wychowałam się w kopalni? Polska jest na Księżycu?

Może przejeżdżam każdego dnia obok hotelu Kempinski we Frankfurcie? Tak, znam hotele Kempinski. Ta sieć została założona przez pewnego Polaka. Dlatego też ma polską nazwę. Czy już dotarło?

I dlaczego miałabym nie znać hoteli Hyatt, Marriott i spółki?

Ale przede wszystkim: to ja ukradłam ręczniki czy Pan Doktor?

Polecił mi go wtedy inny klient. Powiedział tylko:

– Mam dla ciebie adres do sprzątnia. Ale ten pan jest dosyć pedantyczny.

To nic, pomyślałam, ja też jestem. Pasuje.

Poszłam się więc przedstawić.

Podczas pierwszego spotkania Pan Doktor zapytał, czy umiem pisać esemesy.

Do dziś nie wiem: chodziło mu o to, że mogłabym nie umieć pisać, czy raczej sądził, że jeszcze nigdy nie widziałam komórki.

Prawdopodobnie ani jedno, ani drugie nie było dla niego zbyt oczywiste.

Gdy mogłam na to pytanie odpowiedzieć twierdząco, podał mi kod dostępu do drzwi wejściowych.

Najwyraźniej jego zdaniem trzeba było wykazać się kompetencjami w zakresie pisania esemesów, by umieć obsłużyć elektroniczny zamek.

Jasne, jeśli się jeszcze nigdy nie pisało esemesów, nie można było sobie z tym poradzić. W końcu trzeba wprowadzić sześć cyfr. Jednym palcem. To już lepiej zatrudnić wykształconą pisarkę esemesów. Wtedy drzwi się otworzą.

Bo na co komu sprzątaczką, która nie wejdzie do mieszkania, gdyż jeszcze nigdy nie napisała esemesa?

Przemysłny chłopak z tego Pana Doktora.

Poza tym jest najlepszym dentystą w Niemczech. Tak uważa moja siostra.

Gdy wspaniałomyślnie zaproponował, że możemy w każdej chwili przyjść do niego na leczenie, siostra raz skorzystała, gdy mocno bolała ją ząb.

Po dwóch godzinach czekania doktor zaprosił ją do gabinetu.

On: Pani Po... Podols... Proszę, proszę wejść.

Ona: Witam, panie doktorze, jak się pan miewa?

On: To ja jestem pacjentem czy pani?

Ona: Przepraszam.

On: Co się dzieje?

Ona: Bardzo boli mnie trzonowy ząb na dole po lewej stronie.

Myślę, że to plomba.

On: Musi pani lepiej czyścić zęby.

Ona: ...???

On: Moja asystentka da pani kilka tabletek przeciwbólowych i szczoteczkę do zębów. Życzę miłego dnia.

Już stał przy drzwiach i wyciągał do mojej siostry rękę na pożegnanie.

Nie chodzi przecież o wnikliwe badanie i dokładną diagnozę.

Od tego czasu siostra niewiarygodnie często myje zęby gratisową szczoteczką od Pana Doktora. I naprawdę dobrze jej to robi. Bóle zębów zniknęły jak sen.

Czy jest to rzeczywiście zasługa magicznego narzędzia do

czyszczenia, czy nowych wypełnień, które zrobił jej potem inny dentysta, trudno jednoznacznie stwierdzić...

Bardziej pedantyczny niż w wypadku diagnozy Pan Doktor jest w domu.

Jego elektroniczny zamek to zaiste cud techniki: można go też użyć jako zegara kontrolnego. Dokumentuje dokładnie to, o której otwieram i zamykam drzwi.

Muszę go używać, by Pan Doktor mógł precyzyjnie określić, kiedy przychodzę i kiedy wychodzę.

Żebym go nie oszukała.

Dzięki temu już za kilka euro ma się pełną kontrolę nad sprzątaczką.

I żeby to coś dało, pierwszego dnia pracy dokładnie mi objaśnił, jak po każdym moim sprzątaniu odczytuje czas i porównuje z tym, co zapisałam.

– Żeby nie przychodziły pani do głowy głupie pomysły. Hehehehe!

Cóż, „hehehehe”, Panie Doktorze.

Podczas sprzątania u Pana Doktora w chwili nieuwagi upuściłam szklankę. Nie była to żadna cenna szklanka, tylko stara musztardówka, w domu Doktora używana jako szklanka do picia.

Gdy rozprysła się na kuchennej podłodze, zebrałam potłuczone szkło, wytarłam posadzkę, odkurzyłam i wyrzuciłam resztki do śmieci.

Przy tego typu drobnych wypadkach zazwyczaj zostawiam kartkę albo od razu mówię, co się zdarzyło, ale tym razem po skończeniu pracy zapomniałam to zrobić. Bo, muszę przyznać, nie przywiązywałam specjalnej uwagi do stłuczonej musztardówki. Poważny błąd...

Następnym razem Pan Doktor wezwał mnie na dywanik.

On: Justyno, dlaczego ostatnim razem wyrzuciłaś szklankę do śmieci?

Ja: Bo była brudna. Hahaha.

On: Co proszę?

Ja: To żart. Niestety, spadła mi. Przepraszam.

On: Justyno! Jeśli coś zepsujesz, to żaden problem. Tym razem nie

potrącę ci tego z wynagrodzenia. Ale w przyszłości mów mi o tym, proszę, natychmiast, żebyśmy mógł kupić nową szklanę.

Kupić? Potrącić z wynagrodzenia?

To była pusta szklanka po musztardzie!

Ale żaden problem.

W przyszłości natychmiast dzwoniłam do gabinetu Pana Doktora. Albo układałam skorupy, najlepiej na blacie roboczym – na białej kartce. Żeby można je było natychmiast zobaczyć i nie tracąc czasu, zorganizować coś w zastępstwie.

W każdym razie dobrych szklanek jest ekstremalnie mało, a czasem tygodniami trzeba czekać, aż jakaś się trafi.

Ale jeśli się ma dobry gust...

À propos. Pan Doktor ma zupełnie wyjątkowy gust. W toalecie dla gości leży dywanik z plastikowej trawki, używanej poza tym jedynie na balkonach.

Nad umywalką rzuca się w oczy lustro z wbudowanymi półeczkami ze szkła, na których stoją szklane wazoniki z wiejskimi malunkami, takie jakie można kupić na stoiskach z pamiątkami w Tunezji albo w Turcji.

Nad papierem toaletowym jest szydełkowa serwetka. Tyrolski kapelusz stanowi ozdobę szafki na ręczniki.

W każdym pokoju leżą dwa, a gdzieś tam trzy stare perskie dywany.

Ten mężczyzna ma 36 lat...

## Czas to pieniądz

Nawet jeśli trochę pedantyczny, Pan Doktor potrafił też być bardzo miły. Przed Bożym Narodzeniem znalazłam małą plastikową choinkę z moim imieniem. Przymocowano do niej wstążką do prezentów wiele drobnych banknotów, tak że była nimi cała pokryta. Uważałam, że to wzruszające.

Wprawdzie najpierw myślałam, że to prezent gwiazdkowy dla mnie, ale przy liczeniu okazało się, że to „tylko” moje wynagrodzenie. Niemniej jednak choinka była dowodem uwagi i starania.

Podobnie jak dla kilku innych moich klientów, pieniądze są dla Pana Doktora drażliwym tematem.

Ostatniego lata poleciliśmy z mężem na urlop do Egiptu. Dwa tygodnie w Hurghadzie. Miała mnie zastępować matka i Pan Doktor się na to zgodził. Zawsze robimy tak, że daję matce pieniądze, które wypracowała, a sama dostaję je później od klientów, gdy się rozliczamy.

Ale w wypadku Pana Doktora przytrafił mi się pewien błąd.

W pierwszym tygodniu matka miała przyjść nie jak zwykle o 8.00, tylko dopiero o 10.00. W całym tym przedurlopowym stresie zapomniałam jej to powiedzieć. Przygnała więc w poniedziałkowy poranek jak zwykle o 8.00.

Pan domu otworzył trochę zaspany i wymiętolony, ale ją wpuścił. Sprzątała cztery godziny i wyszła z mieszkania około południa.

Potem Pan Doktor wysłał mi do Egiptu esemesa, w którym poinformował, że nie potrzebuje mojej matki w przyszłym tygodniu.

Ale ja zawsze wyłączam na urlopie komórkę i dlatego nie odebrałam tej wiadomości. Nic z tym zatem nie zrobiłam.

Matka przyszła więc znowu.

I znów sprzątała cztery godziny. Nikogo nie było w domu.

Gdy wróciłam, Pan Doktor mi się poskarżył. Matka „przyszła, chociaż nie powinna”. Wyjaśniłam mu, z czego wynikało nieporozumienie. Przeczytałam jego esemesa dopiero kilka dni po tym, jak przyszła sprzątać po raz drugi. Na lotnisku w Niemczech.

Dla mnie sprawa była tym samym załatwiona.

Dwa tygodnie później położyłam mu na kuchennym stole do sprawdzenia wykaz godzin pracy. Gdy znów przyszłam tydzień później, cztery godziny były wykreślone i napisane za nimi „2”.

W tygodniu, kiedy matka sprzątała po raz drugi.

Najpierw pomyślałam: „W porządku, nikt jej przecież nie zamawiał”.

Ale im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej się złościłam.

Uznałam, że to nie fair.

W końcu matka zapracowała na wynagrodzenie.

Zastanawiałam się cały dzień, czy powinnam coś powiedzieć, czy nie. W końcu napisałam mu wieczorem esemesa:

Witam. Nie zgadzam się z rozliczeniem. Proszę o zapracowane pieniądze w przyszłym tygodniu.

Jego odpowiedź:

Mówiłem pani, że nie zamawiałem pani matki, i w niedzielę sam posprzątałem. Do prasowania było niewiele i nie wiem, co pani matka robiła tu przez cztery godziny. Te dwie godziny, za które jej płacę, uważam za więcej niż fair. I dlaczego pani dziś nie prasowała? Pozdrawiam!



Teraz rozzłościłam się na dobre.

Nie prasowałam dlatego, że umyłam okna, zmyłam podłogi, posprzątałam kuchnię i łazienkę. Bo Pan Doktor podczas swojej próby samodzielnego sprzątnięcia świadomie je przeoczył.

Poza tym na prasowanie zupełnie się z Panem Doktorem nie umawiałam. Szłam mu na rękę i robiłam to co jakiś czas sama z siebie. Abstrahując od tego, mojej matce należało się przecież wynagrodzenie, na które zapracowała. Odpowiedziałam więc pytaniem:

Ja: Jeśli pan nie zamawiał mojej matki, dlaczego drzwi były odblokowane?

On: Dla pani drzwi zawsze są odblokowane. A to dlatego, że pani ufam. Umów należy dotrzymywać.

Ja: Prasowanie nie było przedmiotem umowy. Uzgodniliśmy, że „od czasu do czasu”. I nagle co tydzień? Ja też nie obstawałam przy umowach!

On: Jeśli nie zdąży pani uprasować, proszę mnie o tym poinformować!

No tak, w końcu chodziło tylko o zasadę. Być może nie było to specjalnie dojrzałe, ale co za dużo, to niezdrowo...

Ja: Nie o to chodzi. Ale teraz co tydzień coś jest!

Tylko w zeszłym tygodniu było niewiele!

Wyjątkowo!

Teraz Pan Doktor zrobił się uszczypliwy.

Proszę posłuchać, akurat wróciłem z Franzem do domu i nie mam ochoty kłócić się esemesowo. POZA TYM: za darmo przecież pani nie prasowała, prawda?!

Tymczasem tak się rozsierzdziłam, że nie mogłam tego tak zostawić, chociaż szczerze mówiąc, trochę się bałam Pana Doktora. W każdym razie jego złość dało się wyraźnie odczuć. Ale moją też, dlatego zakończyłam tę wymianę esemesów tak:

To prawda, nie za darmo, za to potem potrącił pan mojej zastępczyni wynagrodzenie!

Tydzień później znów tam poszłam.

Kiedy skończyłam sprzątać, położyłam dwadzieścia euro na kuchennym stole.

Dokładnie tyle, ile mi Pan Doktor „z uprzejmości” zapłacił za cztery godziny pracy mojej matki.

Zrobiłam to z dumy. I właściwie oczekiwałam, że go to zawstydzi.

Ale o czym mowa? Gdy przyszłam następnym razem, okazało się, że zabrał te dwadzieścia euro i od tego czasu nie powiedział na ten temat ani słowa.

To oznaczało, że sama zapłaciłam swojej matce.

Prawdopodobnie Pan Doktor opowiadał później przyjacielom: „Moja sprzątaczką to wprowadzie głupia koza, ale mimo to porządna”.

Potem unikał mnie przez pięć tygodni. Kiedy przychodziłam, nigdy nie było go w domu.

W korespondencji esemesowej demonstracyjnie nie dodawaliśmy od tej pory dotychczasowych „serdecznych pozdrowień”.

Któregoś razu, gdy akurat sprzątałam łazienkę, nagle otworzyły się drzwi mieszkania.

Pomyślałam „Ojej, Doktor nadchodzi!” i wstrzymałam oddech.

Zawołał słodziutko już od progu:

– Witaaaj!

Odkrzyknęłam „witaj” i sprzątałam dalej.

Po kilku minutach wszedł do łazienki. Akurat szorowałam sedes. Staął za mną i przemówił głębokim, poważnym głosem:

– Justyno...

Serce uciekło mi do nóg. Teraz, pomyślałam, mnie wyrzuci. Wstrzymałam oddech.

– ...Czy mogłaby pani od następnego tygodnia sprzątać u moich rodziców?

– Co?! – kompletnie osłupiałam.

– Rodzice potrzebują pomocy do sprzątanía. Ma pani jeszcze trochę czasu?

Na to nie byłam przygotowana. Przeciwnie, szykowałam już sobie kubel pomyj, które miałam zamiar wylać mu na głowę, gdyby mnie wywalił.

Że jest niewrażliwym łajzą, samolubnym i podłym. I że może sobie wsadzić swoje pieniądze wiadomo gdzie. A poza tym nie muszę przecież dawać się tak oskubywać.

Obsesyjny upierdliwiec!

Ale to już nie bardzo się nadawało...

Wykrztusiłam więc po prostu:

– Tak, jasne. Chętnie.

I cieszyłam się, że nie zauważył drżenia w moim głosie.

Później przyszedł do kuchni, gdzie akurat głaskałam Franza.

– No, widzę, że zebrało się wam na pieszczoty?

W ten sposób Pan Doktor dał do zrozumienia, że między nami znów wszystko jest w porządku.

Na powrót byliśmy „przyjaciółmi”.

Dziwny gość. Zastanawiałam się, jak dogadują się z nim jego pacjenci.

A może powinnam zapytać siostrę?

## Ponadczasowi emeryci

Zadzwonila do mnie srodka para emerytow, ktora szukala sprzataczki.

Oboje okolo siedemdziesiatki.

Mieszkali w olbrzymim domu. Ten bungalow mial dobre czterysta metrow kwadratowych. Meczyczna byl dawniej wzieym adwokatem i prowadzil wlasna kancelarie. Podczas pierwszej wizyty jego zona pokazala mi, co bylo do zrobienia.

Mialam co sroda odkurzyc dywany, posprzatac w kuchni i w lazience, zmienic posciel, pomyc podlogi i zetrzec kurze. Sześć godzin. Dziesiec euro za godzine.

Bardzo lubilam starsza pania i byla traktowana jak czlonk rodziny. Za kazdym razem gdy przychodzilam w poludnie, ci dwoje siedzieli razem jak zakochana para na sofie w stylu biedermeier. Nigdy nie bylo ugotowanego obiadu, tylko zawsze kawa i ciasto.

„W poludnie tylko male co nieco, Justyno, wie pani. Nie ruszamy sie juz za wiele”.

Na Boze Narodzenie i Wielkanoc dostawalam drobny prezent i troche pieniedzy, z okazji slubu tez. Gdy wieczorem konczylam prace, pani domu zawsze pytala z troska:

Ona: Pani Justyno, mogle pani zapakowac kilka kanapek?

Ja: Nie, dziękuję. To bardzo miło, ale nie jestem głodna.

Ona: Ale pani ma tak daleko do domu. Małą kanapeczkę?!

Ja: Naprawdę nie, dziękuję. Ale następnym razem znów zjem z państwem kawałek ciasta.

Ona: Koniecznie! Już się na to cieszymy.

Abstrahując od tego, że najchętniej to ich zapakowałabym i zjadła, tacy byli słodcy, ci dwoje wydawali mi się bardzo uprzejmymi i kulturalnymi ludźmi.

Moja siostra też mogła do nich przyjść i pomóc mi przy specjalnych zadaniach, takich jak mycie okien.

Praca u nich sprawiała mi przyjemność.

Aż któregoś dnia stało się coś, co zmieniło wszystko.

Obydwoje mieli urodziny w październiku. W tym roku on kończył siedemdziesiąt lat. Ponieważ nie chciał robić ze swoich urodzin wielkiego „halo”, postanowili obchodzić tylko urodziny żony.

Zapytała mnie więc, czy mogłabym im pomóc w domu przy tej uroczystości. Miałam zmywać szklanki i naczynia oraz trochę się zająć nakrywaniem i sprzątaniem stołu.

Chętnie na to przystałam.

Uroczystość zaczęła się w samo południe. Niewielkie towarzystwo złożone z trzech par i czterech owdowiałych dam siedziało przy stole w salonie, smakując tartinki z kawiozem i szampana.

Nastrój był swobodny i często rozlegał się śmiech.

Pomagałam w kuchni i w międzyczasie sprzątałam, jeśli nie byłam akurat potrzebna.

Po dwóch godzinach grupa powoli się przerzedziła, a pół godziny później wszyscy goście już wyszli.

Było mi to na rękę, ponieważ teraz mogłam jeszcze szybko posprzątać mieszkanie.

Około godziny 17.00 starsza pani zawołała mnie na kawę. Upiekłam dla niej ciasto na urodziny. Stało wraz ze świeżą, parującą kawą na odświętnie nakrytym stole urodzinowym. Oboje oczekiwali mnie już

z radosnymi uśmiechami, jak zwykle jedno obok drugiego na sofie w stylu biedermeier.

Pamiętam jeszcze, że pomyślałam: „Mój Boże, tak pięknie wygląda na swój wiek”. Gdybym przypadkiem przy sprzątaniu nie widziała jej daty urodzenia w dokumentach, spokojnie uznałabym ją za sześćdziesięciolatkę. Oczywiście coś w tej sprawie robiła.

Teraz robią to przecież wszyscy.

Przynajmniej w pewnych kręgach.

Sprzątałam u kilku bogatych emerytów. Wszystkie kobiety po sześćdziesiątce miały takie same małe zadarte nosy i trochę przestraszone oczy, zjawisko typowe po liftingu powiek. Niektóre napinają sobie szyję, podnoszą biust albo odmładzają dłonie.

I każą sobie wstrzykiwać kwas hialuronowy, by wypełnić wargi albo bruzdę pomiędzy nosem a kącikami ust.

No i botoks, oczywiście.

W czoło i wokół oczu.

Nie widzę w tym nic złego. Jeśli jest dobrze zrobione, wygląda naprawdę nieźle.

Całkiem naturalnie.

Po prostu bardziej świeżo i młodziej.

To przecież wspaniale.

Powiedziałam więc:

– Wygląda pani naprawdę młodo!

I zauważyłam, jak trochę urażona uniosła brwi i odpowiedziała nabzdyczona:

– Dziękuję.

Ale nic sobie przy tym nie pomyślałam.

Piliśmy kawę, jedliśmy ciasto i rozmawialiśmy o tym i owym.

Nagle jej mąż zupełnie ni z gruszki, ni z pietruszki wyskoczył z pytaniem:

– No, jak to jest, gdy się ma pięćdziesiąt osiem lat?

Roześmiałam się i oczekiwałam, że oboje mi zawtórują, by nagrodzić ten uroczy dowcip.

Ale to się nie stało.

Nikt się nie śmiał.

Z wyjątkiem mnie...

Zamilkłam.

Oni to traktowali poważnie!

Zapanowała pełna wyrzutu cisza.

Czułam się okropnie niezręcznie. Nie chciałam nikogo urazić.

Ale poważnie myśleć, że ja albo ktokolwiek inny będzie uważał tę krzepką jak na swój wiek starszą panią za pięćdziesięcioośmiolatkę? Nie przyszłoby mi to do głowy nawet w najśmielszych snach.

Poza tym przecież zupełnie niepotrzebne było to staranie, by uchodzić za młodszą niż była w rzeczywistości. Uważałam tę panią za niewiarygodnie atrakcyjną – właśnie dlatego, że wyglądała tak szlachetnie i emanowała niekłamanym urokiem. Uroda to jedno, atrakcyjność – coś zupełnie innego. Widziałam wielu ludzi, którzy byli piękni – i nudzili mnie. Uważam za atrakcyjne te osoby, które są szczerze, otwarte i z mocą idą przez życie.

Młody wiek, brak zmarszczek czy smukła sylwetka nie mają z tym nic wspólnego.

Ta dama jednak najwyraźniej widziała to inaczej.

Po kilku trwających w nieskończoność sekundach jej mąż gwałtownie zmienił temat.

– Dziś wieczorem przyjeżdża z wizytą nasz syn. Bardzo się z tego cieszymy.

Atmosfera się trochę poprawiła, ale pozostała wyraźnie chłodna.

Kwadrans później spojrzałam na zegarek, powiedziałam, że niestety muszę już iść, i zniknęłam.

Potem ci dwoje byli trzy tygodnie we Francji na urlopie. Mają mieszkanie w Cannes.

W tym czasie otrzymałam propozycję sprzątania i opieki nad dziećmi. Dziesięć godzin w tygodniu. Właśnie w środy.

Takie dziesięciogodzinne prace są oczywiście naprawdę świetne. I zdarzają się rzadko. Koniecznie chciałam się zgodzić.

Żaden kłopot, pomyślałam, mogę przychodzić do pary adwokatów w poniedziałki. Co za różnica, czy sprzątam w poniedziałki, czy w środy; nie mają już żadnych zobowiązań zawodowych, a i dzieci wyprowadziły się z domu.

Ale nie liczyłam się z urażoną dumą żony adwokata... Poczułam ją, gdy zadzwoniła do mnie.

Ona: Dzień dobry, pani Justyno, wróciliśmy!

Ja: Dzień dobry! To wspaniale. Urlop się udał?

Ona: O tak, bardzo. Pogoda była pierwszorzędna.

Ja: Cieszę się.

Ona: Kiedy pani przyjdzie w tym tygodniu?

Ja: No właśnie, w zeszłym tygodniu dostałam propozycję pracy przez dziesięć godzin. Chodzi, niestety, o środę. Dlatego musiałabym przychodzić teraz do państwa w poniedziałek.

Ona: CO? DLACZEGO MI PANI NIE MÓWI O CZYMŚ TAKIM?

Ja: Przecież byli państwo we Francji.

Ona: ALE JUŻ W CZORAJ WRÓCILIŚMY!

Ja: Jeśli poniedziałek nie wchodzi w rachubę, mogę państwu pomóc znaleźć inną sprzątaczkę. A do tego czasu mogłabym przychodzić w każdy inny dzień oprócz środy. Przesunę inne sprzątania.

Ona: Nie wierzę, że znalazła pani pracę na cały dzień. A poza tym w sprawie okien: moja poprzednia sprzątaczką miała siedemdziesiąt lat i dawała sobie radę sama. Pani zawsze przyprowadzała ze sobą siostrę. Nie jesteśmy instytucją charytatywną dla pani rodziny!

Czy mnie uszy nie myliły? Gdzie podziała się ta przyjacielska starsza dama? Znałam ten zarzut, że my, Polacy, zawsze chętnie przemycilibyśmy całą naszą rodzinę. Jednak w tym wypadku było to tak naciągane, że mnie naprawdę poirytowało.

A może ta mania prześladowcza była ubocznym skutkiem botoksu?

Ja: Wie pani, myślę, że jeśli pani tak to widzi, powinniśmy się



rozstać.

Ona: Ja też tak uważam.

Ja: Jest mi bardzo przykro. Proszę pozdrowić ode mnie swojego męża.

Potem gwałtownie się rozłączyła.

Było mi naprawdę przykro. Mimo to nie chciałam tego niesłychanego nonsensu tak po prostu zostawić. Nie ulegało wątpliwości, że moja reakcja na urodzinowe stwierdzenie jej męża tkwiła w niej jak drzazga w palcu.

To był prawdziwy powód gniewu, jak u młodej, głupiej kozy. I to w tym wieku...

Ale, jak to się często zdarza, dopiero później stało się dla mnie jasne, że ci dwoje nigdy naprawdę mi nie ufali.

Zawsze byli w domu, kiedy sprzątałam. Jeśli nagle musieli wyjść, ja też miałam się spakować i opuścić dom.

Szkoda, że mi nie ufali.

Ale mieli do tego pełne prawo.

To przecież był ich dom.

Mimo to cieszyłabym się, gdyby sprawy wyglądały inaczej.

Bo właściwie uważałam tych dwoje starszych państwa za bardzo miłych.

## Dobre wychowanie

To, czego się nauczymy w dzieciństwie, naznacza nas najsilniej.

Gdy jeszcze byłam dzieckiem, rodzice dużą wagę przykładali do tego, żebym opanowała pewne formy zachowania.

Szacunek do starszych należał do nich tak samo jak tolerancja dla ludzi o odmiennych poglądach albo dzielenie się z innymi.

Kiedy na przykład dostałam czekoladę, zupełnie nie do pomyslenia było to, że zjem ją sama, jeśli towarzyszyły mi inne dzieci.

Wówczas trzeba ją było albo podzielić, albo musiałam poczekać, aż dzieci wyjdą, i dopiero ją zjeść.

W żadnym wypadku nie wolno było śmiać się innym w twarz i jeść czegokolwiek na ich oczach. To było zupełnie oczywiste.

Jeśli coś mam, częstuję tym innych. Uważam to za normalne.

Dlatego i dziś czuję się dotknięta, gdy w tych domach, w których sprzątam od lat, nigdy nikt mnie niczym nie poczęstuje.

A to, niestety, reguła.

Zupełnie jakbym była człowiekiem drugiej kategorii albo jakby wręcz mnie nie było.

Tylko w dwóch domach pyta się mnie, czy coś zjem albo wypiję.

Proszę mnie źle nie zrozumieć.

Nie chodzi o to, żeby mnie ktoś żywił.

Mogę za własne pieniądze kupić sobie dostatecznie dużo jedzenia

i picia.

Chodzi mi o postawę, na której opiera się to zjawisko. O brak zdolności dostrzegania innych. Widzenia ich jako ludzi. Jako osób na wysokości własnych oczu.

Szklanka wody jest przecież tylko symbolem.

Szacunku i akceptacji.

Nie ja jedna mam takie doświadczenia.

W zeszłym tygodniu przyszedł na górę do naszego mieszkania kurier z paczką. Zasapał się, więc zaproponowałam mu coś do picia. Ucieszył się, ale był kompletnie zaskoczony.

– Nie zdarzyło mi się to właściwie nigdy – wyjaśnił z pełnym wdzięczności uśmiechem, gdy oddawał mi pustą szklankę.

Tak, mnie też nie.

Czasem się zastanawiam, czy nie mam zbyt dużych oczekiwań.

Może ludzie po prostu nie chcą mieć ze mną zbyt wiele wspólnego? Mam sprzątać, nic nie mówić i najlepiej pozostać niewidzialna.

Ale dlaczego?

Ja przecież się cieszę, jeśli ktoś coś dla mnie robi. Nawet gdy muszę za to zapłacić. Na przykład u fryzjera albo u lekarza mówię „dziękuję”, zanim wyjdę. Chociaż właśnie zapłaciłam czterdzieści euro.

Również „dziękuję” mówi niewielu.

Myślę, że to po prostu nieuwaga.

Ci ludzie nie są w żadnym wypadku złośliwi.

Byłoby jednak piękniej, gdyby sprzątaczkę dawało się troszkę bardziej zauważyć. Byłoby wspaniale, gdyby traktowano mnie w domu jak gościa. Ponieważ ja sama siebie tak postrzegam: idę jako gość do obcych mieszkań. Jestem zapraszana. Ludzie powierzają mi swoją własność. Swoją sferę prywatną. I do tego służę im pracą, którą świadczę profesjonalnie jako poważny usługodawca.

Czy w takiej sytuacji zaproponowanie szklanki wody albo kawałka czekolady jest nie na miejscu?

Może pojęcie „sprzątaczką” stanowi źródło tego problemu. Słowo, które znam tylko z negatywnych kontekstów:

„Nie jestem twoją sprzątaczką”.

„On traktuje mnie jak sprzątaczkę”.

„Ona tu tylko sprząta”.

„To tylko sprzątaczką”.

„Jak się już nic nie da zrobić, zawsze jeszcze mogę sprzątać”.

Super!

To wszystko nie brzmi świetnie. Nie brzmi jak określenie kogoś, kogo się uprzejmie pyta, czy można mu zaproponować szklankę wody. To raczej ktoś, kto ma wykonać swoją robotę i trzymać przy tym buzię na kłódkę. Nie przewiduje się żadnych skarg.

A już zupełnie stawiania wymagań.

Wody nie ma.

Również dlatego właściwie nie lubię określenia „sprzątaczką”. O wiele lepsze są, uważam, „pomoc do sprzątania” czy „pomoc domowa”. Pewien klient przedstawiał mnie kiedyś swoim przyjaciółom, którzy przyszli z wizytą:

– Czy mogę przedstawić? To pani Polanska. Pomaga mi w domu.

Już to uważałam za bardzo miłe, ale potem przedstawił też swoich przyjaciół mnie. I to uznałam za godne uwagi.

Czułam się wówczas jak jedna z nich. Jak człowiek.

Którym przecież jestem.

A potem energicznie chwyciłam szmatę i z dumą wyszorowałam sedesy.

Bo po to tu przecież przyszłam.

Jeśli brakuje tej wrażliwości, widać to jeszcze bardziej po dzieciach w takiej rodzinie.

Pamiętacie jeszcze tę matkę, która w upalne lato przy myciu okien nie zaproponowała mi niczego do picia?

Byłam pewnego popołudnia u tej samej rodziny, żeby uprasować pranie. Tym razem zebrało się tego sporo.

Rozstawiłam deskę do prasowania w bawialni, gdzie cała rodzina zasiadała na sofie przy kawie. Tylko tym razem zamiast kawy były

mleczne koktajle i ciasto. Znow każdy – oprócz mnie – dostał szklanę. Matka zapytała jeszcze:

– Chce ktoś dokładkę?

Nie miała na myśli mnie.

Tak czy owak, bym odmówiła, bo nie lubię mlecznych koktajli. Nie chodzi mi też o to, by się napić do syta.

Naprawdę czasem myślę, że gram w jakimś kiepskim filmie. Przecież nie chodzi o kawior i szampana. Mowa jest tylko o wodzie, kawie, mleku, kawałku ciasta albo jednym bananie.

Ja nawet nie miałabym czasu na posiłek z pięciu dań.

Nawet jeśli komuś się to wyda dziwne: to naprawdę jest dla mnie gorsze niż molestowanie seksualne.

Traktowanie z taką pogardą sprawia mi ból.

Oczywiście, są też inne przykłady. Niektórzy klienci mówią już podczas wstępnej rozmowy:

– Jeśli będzie pani głodna albo spragniona, proszę się po prostu częstować. Nie musi pani pytać.

I tak przecież zawsze pytam i najwyżej biorę szklanę wody lub coli, być może jabłko albo kawałek czekolady.

Często od lat jestem przy rodzinach. Ufają mi, mam klucze do ich domu albo mieszkania, dostają prezent na Gwiazdkę i opiekuję się dziećmi. Ścielę łóżka i grzebię w ich brudnej bieliznie.

Ale nikt mnie nie pyta, czy chcę się czegoś napić.

Nie rozumiem tego.

Mogę to sobie wytłumaczyć tylko tak, że zupełnie nie przychodzi im to do głowy, bo mnie nie dostrzegają.

I to sprawia mi ból.

## Biedni klienci

**K**olejną, zadziwiająco lubianą formą lekceważenia mojej pracy jest „pułapka biedy”.

Wygląda to zawsze tak, że klienci już w drzwiach mieszkania zaczynają jęczeć, jak im się kiepsko wiedzie i że przyszły ciężkie czasy.

No i akurat panuje światowy kryzys gospodarczy.

Trzeba to przecież sprzątać powiedzieć, bo z pewnością nie czyta gazet, a o rynku też nie ma bladego pojęcia. Nie musi wszak znajdować klientów i nie znajduje, jeśli nikt już nie ma pieniędzy.

I wszyscy znów sprzątają sami.

Nieważne. Wracając do pułapki biedy. Moim ulubionym przykładem jest Heike, matka dwójki małych dzieci, które rankiem odwozi do świetlicy, żeby potem pojechać do pracy. Pracuje w Boston Consulting, międzynarodowej firmie doradczej we Frankfurcie.

Jej mąż jest właścicielem małego przedsiębiorstwa, robiącego nadruki na materiałach reklamowych. Poczynając od długopisów i T-shirtów, a kończąc na samochodach ciężarowych. Jednym słowem, pieniądze nie są w tej rodzinie problemem.

Mąż Heike odbiera dzieci ze świetlicy, a potem przychodzi opiekunka. Miła studentka, która mieszka za rogiem.

Ja sprzątam raz w tygodniu przez cztery godziny.

Trzydzieści sześć euro.

Ale często nie widzę ich miesiącami.

Bo Heike jest biedna.

Jest „zakupoholiczką”.

Poświadczył to prawdopodobnie psychoterapeuta, u którego leczy się z powodu „skrajnie nieszczęśliwego dzieciństwa”.

Żebyśmy uwierzyła, wydrukowała mi z Internetu ten oto tekst:

Zakupoholizmem nazywa się utrzymujący się albo nawracający i przynajmniej w pewnych fazach nie do opanowania przymus nabywania rzeczy, dla których nie ma się właściwie żadnego zastosowania i które się już licznie (a po części też wielokrotnie) posiada. Tak nabyte rzeczy są w nadmiarze gromadzone albo ofiarowywane. Zainteresowanie skupia się głównie na samym procesie zakupu, przy czym w dalszym przebiegu choroby zarówno częstotliwość zakupów, jak też koszt produktów muszą rosnąć. Jeśli przymus pozostaje niezaspokojony, grozi to psychicznymi, a po części też fizycznymi objawami odstawienia. Uważa się, że źródłem zakupoholizmu są przyczyny psychospołeczne, w większości przypadków tkwiące w dzieciństwie. W lżejszych przypadkach może wystarczyć autoterapia określonymi środkami. Jeśli przymus jest silnie wykształcony, doradza się pilnie psychoterapię, a w wyjątkowo ciężkich przypadkach – leczenie psychofarmakologiczne.

Niestety, Heike nie jest tym przypadkiem zakupoholika, który rozdaje to, co kupuje.

Ma inny rodzaj zakupoholizmu.

Gromadzi.

Co tydzień, zanim jeszcze zdążę nalać wody do wiadra, woła mnie do garderoby wielkości boiska do piłki nożnej:

– Justyna, popatrz! Wczoraj to kupiłam. Torebka od TOD’sa. Nieprzyzwoicie droga. Szykowna, prawda? Przymierz do siebie. Tak,

tobie też pasuje. Słuchaj, kosztowała tysiąc pięćset euro. Nowa kolekcja.

Albo tydzień później:

– Justyna, chodź! Podoba ci się coś? Tak, spodnie. Gucci. Tyłek wygląda w nich na jędrny, prawda? Czteryście euro. Ale warte tego co do centa.

W kolejnym tygodniu:

– Niespodzianka, Justyna! Buty, Justyna! Tadaaaa! Czyż nie są godne pożądania? A co mówi nam ta czerwona podeszwa? Hihihiii. To moja czwarta para od Louboutina. Trzysta pięćdziesiąt funtów. Byłam na zakupach w Londynie. W ten sposób podróże służbowe stają się przyjemnością!

I tak dalej...

Podczas tych przedstawień nie wyglądała na chorą.

Ale gdy płaciła swojej sprzątacze – tak.

Zawsze kładłam jej co parę miesięcy zbiorczy rachunek na kuchennym stole. Były na nim wypisane dokładne godziny i dni, kiedy sprzątałam. Dodatkowo moje wydatki na środki do mycia i szorowania, które na jej polecenie kupowałam sama. Pod spodem robiłam kreskę i zliczałam wszystko razem.

Nigdy nie wyszło więcej, niż kosztuje połowa spodni od Gucciego.

Scenariusz jest zawsze taki sam: Heike w ogóle nie nawiązuje do rachunku w kolejnym tygodniu.

Więc ja pytam:

Ja: Heike, widziałaś moje rozliczenie?

Ona: Co? A, tak...

Ja: Możesz mi dziś dać pieniądze?

Ona: Ojej. Wiesz, dzisiaj to naprawdę kiepsko.

Ja: Dlaczego?

Ona: To głupie, naprawdę. Patrick w tym miesiącu bardzo słabo zarabiał. Odpadło mu tak wielu klientów. Z powodu światowego kryzysu gospodarczego, wiesz? Słyszałaś, nie? Potem były jeszcze urodziny mojej bliskiej przyjaciółki i musiałam kupić prezent. Wprawdzie przyjaciółki oddadzą mi pieniądze, ale musiałam za nie



założyć. A potem kupiłam szal od Hermesa. Nie mogłam sobie odmówić. Zupełnie nowy kolor. Wiesz przecież, że mam problemy z kupowaniem. Takie psychiczne. Wydrukowałam ci ten artykuł z Internetu. Nie?

Przekroczyłam wszystkie limity na koncie.

Ale to nic. Mogę ci zapłacić za tydzień albo za dwa. Wtedy dostanę z powrotem pieniądze za prezent. To chyba nie jest problem, prawda? Słuchaj, muszę teraz wyjść. Na zakupy.

Ciao.

Mój psycholog, u którego sprzątam, powiedział tylko:

– Supertrik! Kiedy wystawisz mi następny rachunek, też wymyślę sobie jakąś chorobę. Co powiesz na splatofobię? Albo kontanoreksję?

Zastanawiam się, co takiego Heike ofiarowuje swoim przyjaciółkom, że jej konto jest aż tak obciążone...

Mnie w każdym razie nic nie daje. Gdy z powodu rozliczenia siedziałam z nią przy kuchennym stole, stała tam duża patera z mniej więcej stu kulkami Ferrero Rocher. Zapytałam:

– Mogę wziąć jedną?

Odpowiedź brzmiała:

– Nie, to dla moich maluchów.

Bieda musi być bolesna.

## Składziki, kuchnie, toalety i spółka

Gdybym nie musiała się zajmować ściąganiem pieniędzy, od czasu do czasu przychodziłabym do moich właściwych zajęć, sprzątanania.

Oczywiście muszę przy tym otwierać szuflady, wkładać do sedesu rękę po łokieć, zaglądać za szafy, sięgać do kątów i pełzać pod łózkami.

Jestem sprzątaczką.

I to jest bardzo ekscytujące...

W niemieckich szufladach można znaleźć prawie wszystko. Od resztek jedzenia po zabawki z sex-shopu. W szufladach w salonie zalega najczęściej mieszanina śrubek, gwoździ, młotków i obcęgow, złodziejek z trzema gniazdkami, zgniecionego papieru, pilotów do różnych urządzeń, książek albo dekoracji świątecznych.

Filmy pornograficzne są zawsze „dobrze” schowane w pobliżu miejsca wydarzeń. Czyli najczęściej pod łóżkiem, w szafie z ubraniami albo w szufladzie szafki nocnej. Obok lubrykantów, hiszpańskiej muchy i prezerwatyw. Często też używanych naczyń. I ścierek kuchennych.

Również tu jest wiele do wytarcia.

U niektórych ludzi pod łóżkiem można znaleźć więcej niż w szafie. Oto moja osobista lista „Top Ten” – rzeczy, które znalazłam pod niemieckimi łózkami:

**Miejsce 10.**

Dwa opakowania mleka.

Jedno puste, drugie do połowy pełne (mleko skisło).

**Miejsce 9.**

Ćwiartka spleśniałej pizzy.

**Miejsce 8.**

Połowa kurczaka.

**Miejsce 7.**

Zużyte tampony z oznakami rozkładu.

**Miejsce 6.**

Prezerwatywa – zużyta.

**Miejsce 5.**

Kupka kocich wymiocin.

**Miejsce 4.**

Cały paznokieć, który odpadł z dużego palca u nogi.

**Miejsce 3.**

Dwa świeżo usunięte zęby mądrości. Z poprzedniego dnia.

**Miejsce 2.**

Żywa żmija. Uciekła...

**Miejsce 1.**

Zmumifikowane szczątki chomika zaginionego przed paroma tygodniami.

Oprócz tego znajduję pod łóżkiem zwykle rzeczy: stare skarpety, używane majtki, lepiące się szklanki, do połowy pełne butelki, upačkane talerze, pudełka po pizzy, kanapki, opakowania po prezerwatywach, DVD, książki i czasopisma.

Czasem chętniej zaglądam pod łóżko niż do niego.

Na przykład u Schimmelpfennigów.

On jest architektem, ona uczy niemieckiego i francuskiego

w gimnazjum.

On jeździ czarnym metalicznym mercedesem CLK, ona kremowym minimorrisem z czarnymi skórzanymi siedzeniami. Oboje noszą tylko markowe ubrania, poczynając od Armaniego, skończywszy na Zegnii. Najczęściej czarne.

Ale ich dom to najgorsze wysypisko śmieci.

Kiedy wchodzę do sypialni, zawsze muszę nabrać powietrza i najpierw szeroko otworzyć okna. Tak tam śmierdzi.

Na pościeli pełno spermy i plam krwi. Zużyte prezerwatywy walają się dookoła.

Jestem tam tylko raz miesiącu.

I tylko ja zmieniam pościel.

Za zasłoną w sypialni urządzili sobie składzik. Stoją tam na regałach: puszki tuńczyka, konserwy z pomidorami, marynowane ogórki, sałatka z kapusty, cebula, całe wory ryżu.

Suszą też salami.

Najchętniej nigdy nie odsuwałabym tej zasłony, ale niestety wrzucają za nią też rzeczy do czyszczenia.

Oprócz nieuniknionego smrodu nie zostaje mi zatem oszczędzony również widok składziku zapasów i rupieci, który nazywają sypialnią.

Dotykam tego łóżka wyłącznie w gumowych rękawiczkach. Od trzech lat są w tym domu tylko dwa komplety pościeli, które zakładam na zmianę.

Ale to, oczywiście, markowa pościel.

Każde ma tylko po jednej piźniamie. Tych nie powinnam pracować, bo podobno sami lubią to robić.

Dobre sobie.

Jeśli choć jedna z nich była kiedykolwiek uprana, niech natychmiast spod bluzki wypadnie mi wiadro do sprzątnięcia.

W kuchni można znaleźć w zlewku, na podłodze i blacie przegląd dań z ubiegłego tygodnia.

Jak można mieszkać w takim syfie?

Kobieta jest przy tym niewiarygodnie miła. Traktuje mnie jak

człowieka. Opowiadamy sobie prywatne historie i dużo się razem śmiejemy.

Najwyraźniej zauważa sens pielęgnacji ciała, bo co roku na Boże Narodzenie daje mi w prezencie talon do drogerii Douglas. Ona sama też jest zawsze czysta i dobrze umalowana. Rzadko widuję ją bez makijażu.

Co, niestety, prowadzi do tego, że jej sofę w salonie pokrywają plamy po podkładzie...

Można zdjąć ten pokrowiec.

Tylko nikt tego nie robi.

Alergia na pranie?

Dziwi mnie, że nie zauważyłam tam jeszcze żadnych karaluchów.

A często widuje się je przy sprzątaniu.

Kiedys miałam klienta, u którego przez pewien czas nie sprzątałam, ponieważ dopadły go kłopoty finansowe i nie mógł sobie pozwolić na sprzątaczkę.

Gdy znów poprawiło mu się finansowo, zadzwonił do mnie i po paru miesiącach przyszedł do jego mieszkania.

Nie byłam tam sama...

Kuchnię zaatakowały setki karaluchów. Pełzały wszędzie, roiło się od nich.

Zanim odważyłam się do niej wejść, zadzwoniłam do przyjaciela, który zajmował się dezynsekcją.

Na szczęście takie wypadki są bardzo rzadkie.

„Dziś, niestety, nie...”

Niemcy odwołują sprzątanie bardzo zabawnie.

Mają zawsze jakiś „stres”.

Typowa niemiecka odmowa brzmi tak:

„Słuchaj, w tym tygodniu po prostu się nie uda. Mam pewien stres. Pracowałem dziś tak długo i teraz po prostu się już nie da. Tak mnie boli głowa. Słuchaj, po prostu się nie da”.

Wtedy nie mogę się nie roześmiać. Za dużo stresów?

To przecież ja wykonuję tę pracę!

Ale w końcu jest mi wszystko jedno. Jestem bardzo elastyczna i potrafię się dostosować.

Wyjątkowo „apetyczne” są toalety tych ludzi.

Zastanawiam się często, co oni sobie właściwie myślą. Mało kto porządnie spłukuje sedes, zanim przyjdę. Potem leży tam wielka kupa jak na prezentacyjnym półmisku, pięknie obłożona zużytym papierem toaletowym.

Czasem wszystko jest już zasuszone.

Poza tym: nie tylko mężczyźni sikają obok sedesu. I nie tylko sika się obok...

Podejrzewam, że większość myśli: „Dziś przychodzi sprzątaczką, to już nic nie muszę robić”.

Ale proszę, są granice.

Wprawdzie przyzwyczałam się już do tego, choć również sprzątaczką nie cieszy się z uryny, fekaliów i flegmy w misce klozetowej, obok niej albo na ścianach.

Uważacie, że samo czytanie o tym jest obrzydliwe?

A ja muszę to pousuwać...

## Interludium

Ja: Witaj, Mr Chaos! Przyszłam posprzątać. Podłoga w kuchni znów wygląda bardzo CZYSTO! A jaka wspaniała sterta ubrań w sypialni!

On: Wszystko po to, żebyś w kryzysie nie zaczęła się bać, że mogłabyś zostać bezrobotna! Bardzo się starałem...

Ja: Dziękuję! Czy dziś przychodzi twój chłopak? Jeśli tak, muszę prześcielić łóżko. W przeciwnym razie – po prostu nie warto...

On: Możesz zostawić! W weekend jestem u niego.

Ja: Z pewnością je zostawię! Muszę się dziś z tobą widzieć?

On: Jeszcze będziesz CHCIAŁA się ze mną widzieć. Gdy nadejdzie dzień wypłaty!

Ja: Tak, tak, tak! Ja też życzę ci miłego weekendu.

On: Miłego weekendu? Chora jesteś?

Ja: Miłego weekendu życzyłam twojemu CHŁOPAKOWI... mówiłeś przecież, że odwiedzasz go dzisiaj...

On: TERAZ wiem, o co chodzi! Zatem miłego weekendu (życzę twojemu MĘŻOWI – HAHAAHAHAHAHA).

Ja: Ach tak, musisz mi podać jeszcze kilka wskazówek, jak prowadzić taki CZYSTY dom... Wciąż się zastanawiam, czy sam nie dałbyś sobie z tym rady...

On: Wszyscy mnie o to pytają. Jeśli będę miał kiedyś czas, chętnie podam ci kilka wskazówek.

Ja: Tak, tak. Przede wszystkim musisz mi pokazać, jak w kuchni na podłodze robisz ten błotny wzorek... Zawsze wygląda naprawdę wspaniale! Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałam...

Ale niestety bateria padła.



## Uwaga, pułapka

Ulubionym sportem zleceniodawców jest zastawianie pułapek na sprzątaczkę. Żeby sprawdzić, na ile jest godna zaufania.

Uważają to za swoje święte prawo i nie robią z tego tajemnicy, jeśli się ich spyta.

Świadczy o tym następująca historia.

W czwartki chodziłam sprzątać do państwa Gromnitzkas. Najpierw myślałam, że są Polakami, ale potem okazało się, że ta rodzina mieszkała w Niemczech już od pięciu pokoleń.

Para młodych małżonków, oboje pracują cały dzień. Prawnik i graficzka.

Raz w tygodniu.

Cztery godziny. Po dziesięć euro.

Ponieważ w ciągu dnia byli w pracy, już podczas wstępnej rozmowy dali mi klucz do mieszkania: nowe budownictwo, sto czterdzieści pięć metrów kwadratowych.

W pierwszych tygodniach nie wpadło mi w oko nic wyjątkowego. Sprzątałam, szorowałam, myłam, zmywałam, prasowałam i porządkowałam.

Normalna codzienność.

Potem zaczęłam znajdować banknoty.

Dziesięć euro pod sofą. Dwadzieścia euro za szafą. Pięćdziesiąt euro

pod kołdrą.

Za każdym razem zabierałam pieniądze, pisałam na kartce „znalazłam” i kładłam wszystko na kuchennym stole.

Najpierw dziwiły mnie te osobliwe miejsca znalezisk, ale dalej się nad tym nie zastanawiałam. Kiedy jednak prawie co tydzień gdzieś walały się pieniądze, postanowiłam napisać do pani domu zatroskany e-mail.

Witam! Musicie państwo bardziej uważać! Wciąż znajduję u Was jakieś zawieruszone pieniądze. O co tu chodzi?

PS A może chcecie mnie sprawdzić? :-)

Naprawdę chciałam ich tylko napomnieć, żeby trochę ostrożniej obchodzili się z pieniędzmi. Nie podejrzewałam, że mojego ironicznego dopisku odbiorczyni wcale nie potraktuje jako żartu. Odpisała:

Zauważyłaś to?

Ale muszę Cię pochwalić za uczciwość!

Zaniemówiłam. Nie tylko insynuowali mi, że mogłabym kraść, lecz także nie uważali za stosowne przeprosić mnie za to. Bezcelność góra...

Na kolejny stopień osobliwości wspięła się pewna starsza pani, do której przychodziłam sprzątać raz w tygodniu. Była niezamężna i z biegiem życia rozwinęło się u niej takie czy inne dziwactwo, a nie było partnera, który mógłby ją przed tym uchronić.

Między innymi miała obsesję na punkcie kurzu.

Przykładała największą wagę do wycierania kurzu. Ostрым, histerycznym głosem wygłaszała mi za każdym razem wykład o zasadach:

– Panno Justyno, koniecznie musi pani dokładniej wycierać kurz. Przede wszystkim w kątach. Tam wyjątkowo lubi osiadać. A jeśli się nie usunie kurzu, trzeba będzie kiedyś wyrzucić meble. Bo kurz wszystko zniszczy. Kurz jest wrogiem pani domu. Usuwanie go, zanim

powstanie, to konieczność. Rozumie pani? ZANIM POWSTANIE!  
A usuwanie oznacza: wszędzie i bez reszty! Czyli również na ramach obrazów! Rozumie pani? NA ramach obrazów!

Wyjątkowo ważne fragmenty powtarzała za każdym razem ze skrzeczącym naciskiem. Bolały mnie uszy.

Muszę się przyznać, że nie wycierałam kurzu zgodnie z jej wyobrażeniami. Nie przecierałam co tydzień każdej ramy obrazu, każdego wazonu, każdej buteleczki, każdego lustra i innych drobiazgów czy gzymsików.

Owszem, wycierałam kurz, ale nie tak, jakbym chciała go od razu usunąć z tej planety.

Poza tym miałam jeszcze co innego do zrobienia.

I tylko dwie godziny.

Ta dobra kobieta stanęła pewnego dnia naprzeciwko mnie, szybko dysząc, wyciągnęła w moim kierunku centową monetę i zaskrzeczała:

Ona: Proszę popatrzeć! PROSZĘ POPATRZEĆ, CO  
ZNALAZŁAM!

Ja: Centa?

Ona: DOKŁADNIE TAK!

Ja: No i?

Ona: To leżało na ramie obrazu! Nie powiem pani na której!

Ja: Nie rozumiem...

Ona: TO JEST DOWÓD!

Ja: ...???

Ona: To jest dowód, że nie ścierała pani KURZU!

UDOWODNIŁAM pani! Teraz KONIEC! Proszę zabrać swoje rzeczy i sobie IŚĆ! ZWALNIAM panią! Nie chcę KŁAMCÓW w moim domu!

Wciąż jeszcze się zastanawiam, czy mi się nie śniło. Ale myślę, że to się zdarzyło naprawdę...

Inna sytuacja – materiał na anegdotę – przytrafiła mi się u pewnego

inżyniera. Bywał często w długich podróżach służbowych, a ja miałam za zadanie doprowadzić mieszkanie do porządku przed jego powrotem.

Prawdopodobnie wynikało to z jego wykształcenia, pewnej obsesji albo wyraźnej skłonności do zabawy. Jedno jest pewne: za każdym razem kiedy otwierałam jakąś szafę czy szufladę, słyszałam cichy, ale wyraźny, dziwny dźwięk, jakby kłapanięcie.

Jego źródłem były długie ludzkie włosy, które ten pomysłowy pan przyklejał taśmą klejącą na zamkniętych drzwiach. Żeby sprawdzić, które otwierałam, a których nie.

Miał mnie za zupełnie głupią? Myślał, że nie zauważę tego wyraźnego oporu? Albo nagłego kłapanięcia? Nie mówiąc już o jawnie naklejonych paskach taśmy, którymi przymocował włosy po lewej i prawej stronie. Często na wysokości wzroku.

Naoglądał się chyba za dużo kiepskich filmów szpiegowskich.

Najwyraźniej jednak otwierałam szuflady, które wolno mi było otwierać, i zostawiałam zamknięte te, których zawartość chciał utrzymać w tajemnicy, bo po kilku miesiącach te pułapki znikły.

Sprzątam u niego do dziś.

Problemu włosy nigdy nie rozdzielaliśmy na czworo.

W tej konkurencji najlepsza była jednak pani Lśniąca!

Opowiadałam po prostu, jak było.

Świadomie załatwiała się obok sedesu, żeby zobaczyć, czy dokładnie wszystko wytarłam. Ale nie koniec na tym, ponieważ rozsmarowywała też zawartość swojego jelita pod deską sedesową, chcąc sprawdzić, czy ją również podniosłam do czyszczenia.

Gdy zapytałam, co się dzieje, wyjaśniła mi zupełnie spokojnie swój plan sprawdzania sprzętaczek. Jak gdyby była to rzecz najzwyklejsza na świecie. A potem dorzuciła to znaczące zdanie:

– Tylko jeśli ktoś się nisko pochyla, jest wysoko wynagradzany.

Nie mam pojęcia, co chciała przez to powiedzieć albo w jakim właściwie grała filmie.

I tak naprawdę nie czekałam na wyjaśnienie.

Po trzech kupach się zwolniłam.

Wydawało mi się, że przy kolejnej to już byłoby za dużo tego dobrego.

# Bez żadnych uprzedzeń

Podejrzenia, że możemy kraść i jesteśmy leniwe, towarzyszą nam, sprzątaczkom, w sposób nieunikniony. A mnie jako Polki dotyczy to w dwójnasób.

Ale da się z tym żyć.

Wiele jest takich uprzedzeń, do których oczywiście nikt się otwarcie nie przyznaje i nie wyraża ich nigdy wprost, ale żywi je po cichu i potajemnie.

W tym czasie zrobiłam sobie zabawę ze zbierania uwag, które na pierwszy rzut oka wydają się niewinne, ale jeśli się człowiek bliżej przyjrzy, wyrażają lekceważenie albo tłuściutkie, wredne uprzedzenie.

Oto moje ulubione stwierdzenia:

To moja sprzątaczką.

Po pierwsze: płacisz mi raptem za dwie godziny w tygodniu – to nie powód, by traktować mnie jak swoją własność. Po drugie: zastanów się, proszę, nad jakimś innym słowem, kiedy przedstawiasz mnie swoim przyjaciołom. Ja przecież nie mówię: „To moja pani”.

Potrafi pani sprzątać z takimi paznokciami?

A powinnam sprzątać bez paznokci? To prawda, mam zadbane paznokcie, zrobiony manikiur. Paznokcie mają pół centymetra długości. Manikiur francuski. Nic odjechanego. Moja przyjaciółka prowadzi studio paznokci. Skąd to pytanie?

Czy sprzątaczkom manikiur nie przystoi? Muszą mieć połamane, brudne paznokcie, bo są wszak robotnicami? Czy paznokcie przeszkadzają w używaniu środka do czyszczenia albo w wywijaniu

mopem? O co chodzi?

Czy pani ubranie nie jest zbyt eleganckie do sprzątanania?

Od którego miejsca konkretnie jest zbyt eleganckie? Powinnam przychodzić w podomce? A może w worku na śmieci? Dokładnie się zastanawiam nad tym, jak się rankiem ubieram, idąc do sprzątanania. To nie jest tak, że praca mnie nagle zaskakuje. Zatem: nie, najwyraźniej uważam moje ubranie za odpowiednie. A ponieważ to ja sprzątam państwa mieszkanie, powinni mi państwo pozostawić suwerenność w sprawie ubrania.

Urlop w pięciogwiazdkowym hotelu? Jak może sobie pani na to pozwolić?

No cóż, na boku sprzedaję swoje ciało... Zatem raz na zawsze wyjaśniam: pięciogwiazdkowy hotel w Antalyi kosztuje osiemset euro za dwa tygodnie. Z pełnym wyżywieniem i przelotem. I owszem, jako sprzątaczką mogę sobie na to raz w roku pozwolić. Wprawdzie wtedy nie kupię już sobie BMW ani dzinsów od Gucciego, ale trzeba ustalić jakieś priorytety. Wolno mi?!

Czy w Polsce macie colę?

Cóż, kiedy rankiem schodzimy z drzew, w gęstwinie znajdujemy czasem puszki po coli, które wyrzucili turyści z wysoko rozwiniętych krajów. Ale niestety, zawsze są puste. Dlatego podejrzewam, że cola jest, ale nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością.

Widziałaś może moje srebrne kolczyki?

I zaraz potem, z pełnym wyrzutem spojrzeniem:

Dopiero co je tu położyłam...???!!!

Jasne, że je widziałam, przecież właśnie je zgarnęłam. Ale się, oczywiście, nie przyznam, bo musiałabym od razu wyznać, że te

dwadzieścia euro, o które pytałaś mnie w zeszłym tygodniu, też lekką rączką wydałam. A ten złoty zegarek, którego twój mąż szuka już od tygodni, również opyliłam. Lepiej niczego nie rozkładać na wierzchu!

Co pani robiła tak długo?

Oglądałam telewizję, jadłam, trochę poczytałam gazetę, rozmawiałam przez telefon, a potem jeszcze troszeczkę podłubałam w nosie. Proszę sobie posprzątać we własnym zakresie, bo sami państwo widzą, jak długo to trwa.

W kątach jeszcze został kurz!

Z pewnością, a pod szafą po lewej w rogu leży też fistaszek. To ten, który w zeszłym tygodniu podczas chrupania przy oglądaniu telewizji spadł państwu na podłogę. Chętnie posprzątam wszystkie kąty. Ale na to dwie godziny w tygodniu, niestety, nie wystarczą. Raczej cztery. Jednak to kosztuje dwa razy tyle. Ach, nie chcą państwo zapłacić? No cóż...

Co? Bierze pani DZIESIĘĆ euro za godzinę? To rozbój!

Hmm, pozwolą państwo, że się zastanowię. Ile państwo zarabiają? Ach tak, państwo studiowali. Rozumiem. Gdybym ja studiowała, też dostawałabym sześćdziesiąt euro za godzinę? Mam dla państwa propozycję: proszę sobie sprzątać samemu i odkładać moje wynagrodzenie za każdą godzinę. Po trzydziestu latach będą sobie państwo mogli za to zmienić firmowy samochód. I jak to brzmi?

To ORYGINALNY T-shirt Hilfigera?

Oczywiście, że nie! Byłam przecież w pięciogwiazdkowym hotelu. Nie starczyło już kasy na oryginalne ubrania. My, Polacy, mamy dobre powiązania z kryminalnymi kręgami. Moi kuzyni handlują wprawdzie narkotykami, ale załatwiają mi też przy okazji pierwszorzędne



podróbki. Ta koszulka na przykład „spadła z ciężarówki”. O ludzie!

Jest pani taka młoda... Czy ma pani w ogóle doświadczenie w sprzątaniu?

Doświadczenie w sprzątaniu? A co by to miało być? Wiedza, jak rozrobić wodę do mycia? Jak używać mopa? Czy raczej znajomość środków czyszczących? A może też środki obrony koniecznej na wypadek, gdyby kogoś zaatakowały koty z kurzu? Dzięki doświadczeniu lepiej się widzi plamy? Czy po czterdziestce wpadają człowiekowi do głowy lepsze pomysły na sprzątanie? Czy w wieku pięćdziesięciu lat sprząta się bardziej elegancko? Naprawdę, już się cieszę, że się zestarzeję!

I na koniec absolutny hit. Mój superfaworyt:

Chcesz zawsze być sprzątaczką?

Ależ oczywiście! Moim marzeniem zawsze było usuwanie brudu po obcych ludziach. Nie potrafię sobie wyobrazić niczego piękniejszego niż grzebanie w śmieciach, wkładanie rąk do brudnej wody i szorowanie sedesów. Zawsze, kiedy jakieś młode dziewczę pyta mnie, kim powinno zostać, podsuwam pomysł: „A myślałaś już może o sprzątaniu?”. To przecież wspaniały cel dla dziecka. Ale też wciąż zdarzają się dorosłe osoby, które mają zupełnie inne wykształcenie i decydują się zmienić zajęcie. Piękne jest to, że każdy może zostać sprzątaczką. Od razu. Może państwo też mają chęć?

## Maria Belgijska

Gdy jeszcze byłam w Niemczech nowa, zatrudniła mnie Maria. Była Belgijką, mieszkała w centrum i potrzebowała pomocy do sprzątanania w swoim pięciopokojowym mieszkaniu.

Dwa razy w tygodniu. Po cztery godziny.

Maria miała męża Niemca i dwóch małych synków, cztero- i sześciolatniego. Bardzo lubiłam dla niej pracować, ponieważ od razu zdobyła moją sympatię, gdy podczas pierwszego spotkania powierzyła mi klucze.

Wszystko wydawało się idealne.

Mąż, pośrednik w handlu nieruchomościami, był przyjacielski, dostawałam pieniądze we właściwym czasie, były drobne upominki na Wielkanoc i Boże Narodzenie, ubrania dla Polaków. Całkiem przyjemny układ.

Z początku nie przeszkadzało mi, że było dla nich oczywiste mówienie do mnie per „ty”, ale ja musiałam ich tytułować panią i panem. Gdy raz wymusnęło mi się „ty”, przywołała mnie natychmiast do porządku, mówiąc, że tego by nie chciała. To było dla niej zbyt prywatne. Zwracałam więc uwagę na formę „pani”. Żaden problem.

Nie przeszkadzało mi też, że była sztywna i twardo utrzymywała, że jest architektem, chociaż nigdy nie pracowała, niczego nie zaprojektowała ani nie zbudowała, ani w ogóle nie miała pojęcia

o architekturze. Uważałam to za niepotrzebne. Byłam w końcu ostatnią osobą, która robiłaby problem z tego, że ktoś nie studiował albo nie uprawia żadnego klasycznego zawodu.

Muszę też powiedzieć, że w tych sprawach już wtedy zarysował się problem, który w następnych latach ujawnił się w pełnym rozkwicie: Maria stała się kompletną histeryczką.

Nie tylko bez powodu wymyślała sobie tożsamość i wyznaczała ekscentryczną granicę stanu pomiędzy sobą a sprzątaczką. To było wprawdzie niestosowne, ale jeszcze „normalne”. Jej histeria prowadziła też do tego, że swoją frustrację po kłótni z mężem, piszcząc, cholerycznie wyładowywała na mnie. A kłótnie zdarzały się, niestety, bardzo często, ponieważ wciąż ją zdradzał.

W końcu z trudem odważałam się wejść do domu i z czystej paniki ledwie mogłam sprzątać.

Maria okazała się nieobliczalną furiatką.

Byłam jeszcze zbyt młoda i niepewna w obcym kraju, żeby się bronić.

Znosiłam o wiele za dużo. Dzisiaj to wiem.

Zadowolona jestem tylko, że w końcu wygrałam.

Ale po kolei.

Po moim pierwszym roku u Marii przyszedł wielki dzień: przeprowadzka do nowo wybudowanego domu. Sześćset metrów kwadratowych w zamożnej okolicy.

Miałam przychodzić teraz trzy razy w tygodniu.

W tym czasie zauważyłam też, że z Marią jest coś nie tak.

Kiedyś szorowałam schody, gdy wybiegła z sypialni z głośnym krzykiem, a obok mojej głowy śmignęły dwa buty i uderzyły w ścianę.

Obcasy zostawiły w tynku głębokie rysy.

Atakowi towarzyszyły słowa:

„CHOLERA, LUDZIE! KURWA! SPRZĄTAJ DO CZYSTA, TY WYWŁOKO!!!”.

Maria pokłóciła się z mężem o pieniądze, jak słyszałam.

Skamieniałam w szoku.

Tak samo jak przesadzona była wściekłość Marii, skrajne były też jej deklaracje sympatii. Gdy jechałam na weekend do Polski, dokładała mi trzysta marek. Wprawdzie cieszyłam się z tego finansowego błogosławieństwa, ale już czułam, że zapłacę za to wysoką cenę po powrocie.

I rzeczywiście, kilka dni później znów się na mnie rozdarła:

„TY DURNA ŚWINIO, CHCESZ TYLKO MOICH PIENIĘDZY!”.

Co roku Maria i jej rodzina lecieli na urlop na Ibizę. Gdy wrócili pierwszy raz do nowego domu, na kuchennym stole znalazłam otwarty list. Ponieważ moi klienci często zostawiali dla mnie informacje w rodzaju: „Proszę dziś zrobić pranie”, „Proszę nie przychodzić w przyszłym tygodniu” albo „Nie widziałaś moich niebieskich skarpetek?”, przeczytałam kartkę.

Była tam krótka, zwięzła wiadomość:

Martin,

mam dość twoich skoków w bok. Zdradzanie mnie podczas urlopu było upokarzające. Już to byłoby dostatecznie złe i wystarczyło, ale teraz w dodatku nie masz już pieniędzy.

Wyprowadzam się.

Maria.

Miesiąc później dom został sprzedany. On znalazł sobie ładne, nowoczesne trzypokojowe mieszkanie. Ona wprowadziła się do pięciu pokoi w starym, podupadłym domu. Sprzątałam u obojga.

To było interesujące...

Bo Maria chciała mnie wykorzystać jako tajną informatorkę. Dowiedziała się, że jej mąż ma romans ze swoją marokańską sekretarką. Próbowała mnie więc mniej lub bardziej zrećnie wypytać.

- Ustawił wszędzie świeże kwiaty?
- Ma nową pościel?
- Jak wygląda ta pościel?
- Ma prezerwatywy w szafce nocnej?

Itd.

Bałam się jej napadów wściekłości, dlatego zawsze udzielałam w miarę możliwości dyplomatycznych odpowiedzi i zazwyczaj mówiłam, że nie zauważyłam nic szczególnego. Nie chciałam znaleźć się między jedną a drugą linią frontu w ich wojnie róż.

Mimo to wydzierała się na mnie, już gdy podchodziła do drzwi:

– MÓWIŁAM CI JUŻ PRZECIEŻ, ŻE MASZ UMYĆ OKNA! MASZ MNIE KOMPLETNNIE W DUPIE!!!

– GDZIE SIĘ ZNÓW PODZIAŁAŚ? JESTEŚ ZA GŁUPIA DO SPRZĄTANIA?!!!

To był koszmar.

Już przy wstawianiu z łóżka myślałam z lękiem: „Mam nadzieję, że dziś na mnie nie nawrzeszczy”. Zastanawiałam się, czy się zwolnić, ale trudno znaleźć coś w zamian za trzy pełne dni.

I mimo całego tego jazgotu nigdy mnie nie wyrzuciła. Potrzebowała worka treningowego, żeby się na nim wyżyć. Najwyraźniej odgrywałam tę rolę aż za dobrze.

Wewnętrznie jakby mnie ubywało.

Gdy Maria wracała ze stajni, wrzucała swoje brudne buty do jazdy konnej do kuchennego zlewu i krzyczała:

– JAZDA, WYCZYŚĆ TO!

Kiedy miała okres, ciskała swoje umazane krwią majtki do kąta i zostawiała je tam, dopóki ich nie uprałam – często przyklejone były do nich jeszcze zakrwawione podpaski.

Czasy uprzejmego dystansu dawno już minęły.

Potem stało się to, co się często zdarza: małżonkowie na powrót zbliżyli się do siebie, on wprowadził się do niej do starego budynku, wkrótce ponownie zakupili dom. Wyraźnie znów mieli pieniądze.

Podczas przeprowadzki poprosiłam o pomoc przy generalnym sprzątanju moją przyjaciółkę, Iwonę. Maria bardzo lubiła Iwonę. Tak bardzo, że pewnego dnia otworzyła mi drzwi ze słowami:

– Dzisiaj nie musisz sprzątać. Iwona już to zrobiła. Przyjdź pojutrze.

Gdy przyszłam dwa dni później, była ta sama zabawa:

– Wczoraj była Iwona. Nie musisz dzisiaj sprzątać.

To nawet dla mnie było za wiele. Dlaczego Maria kazała mi przyjść, jeśli z góry było wiadomo, że mnie kimś zastąpiła? Po wszystkich tych latach poniżania nie miałam już ani siły, ani motywacji do tej pracy.

Nowe miotły zmiatają lepiej. Iwona była świeża, miała niespożytą energię. I korzystała jeszcze z „okresu ochronnego” u Marii.

Niespecjalnie pochwalałam to, co zrobiła Iwona, ale też zaświtało mi, że mój czas u Marii się skończył.

Byłam wypalona.

Mimo to potrzebowałam pieniędzy. Zaproponowałam więc Marii, że mogę sprzątać biuro, które znajdowało się w domu. A Iwona resztę. Maria na to przystała.

Przychodziłam teraz tylko raz w tygodniu na cztery godziny.

Pracowałam najlepiej, jak umiałam.

Staralam się zachować rozsądek i nie pozwolić, by wieloletnie urazy wpływały na moje postępowanie.

Ale kiedyś Maria znów się na mnie rozdarła.

I tama pękła.

Byłam już zmęczona upokarzaniem.

Nie chciałam nikomu oddawać władzy nad sobą.

Miałam dość.

Po raz pierwszy w życiu w odpowiedzi podniosłam głos.

– Wiesz TY co? Jesteś tępą czarownicą! Nie potrafisz postępować z takimi małymi ludźmi jak ja. Dobrze czujesz się tylko z tymi, którzy jeżdżą drogami autami i mają mnóstwo pieniędzy! Twierdzisz, że nie potrafisz sprzątać. Ale o tym, że swoje brudne majtki chowasz w szafie i traktujesz mnie jak gówno, to już nie opowiadasz! Jesteś żalosna!

To były mocne słowa. I dobrze się stało. Maria coś tam wyjąkała, że nie sądziła, że tak u niej cierpię. Ale przeprosić mnie też nie uznała za konieczne.

Opuściłam ten dom i nigdy więcej nie wróciłam.

Iwona sprzątała grzecznie jak niewolnik, dopóki Maria się do niej nie przyzwyczaiła. Potem zaczął się ten sam dramat.

Po kilku miesiącach również Iwona się zwolniła, bo już nie wytrzymała tych wrzasków. Wzięła zaliczkę, którą Maria jej wypłaciła, jako odszkodowanie i więcej się tam nie pokazała.

Uważam, że to zręczne wyjście.

I ja też tak powinnam była zrobić.

Osiemdziesięciu euro, które mi się należały, nigdy nie dostałam.

Ale co można na to poradzić, Maria powinna sprawić sobie za nie coś fajnego. Potrzebuje tego. Bo ostatnio doszły mnie słuchy, że jej mąż się wyprowadził. Do innej kobiety.

Potrafię to zrozumieć.

## Prominenci

W przyprawie dobroci Maria poleciła mnie zaprzyjaźnionej parze. Pojechałam tam, polubili mnie. Do dziś sprzątam u nich dwa razy w tygodniu. We wtorki i w piątki. Mają trójkę dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę.

Nazywam tę rodzinę Prominentami, ponieważ nie odpuszczają żadnej okazji, aby podkreślić, jakich sławnych ludzi znają i jak sami są ważni.

Myślę, że na skali ważności umieszczają siebie gdzieś między papieżem a Michaeliem Jacksonem:

- Wczoraj byliśmy na kolacji z Witalijem (Kliczką).
- Powiedziała mi ostatnio Verona (Poth)...
- Reinhold (Beckmann) polecił mi tę restaurację...
- Wiesz, jesteśmy na ty.

Pan Prominent dał mi numer swojej komórki, ale musiałam przyrzec mu na wszystkie świętości, że nie podam go nikomu.

– Nie masz pojęcia, ilu ludzi dałoby się zabić za to, żeby dostać ten numer. Nie może się w żadnym razie dostać do publicznej wiadomości.

Nie ma tematu, 007, będę milczeć jak grób...

Poza tym pan Prominent jest całkiem dowcipny. Gdy ze mną rozmawia, lubi powtarzać to, co mówię. Ale z włoskim akcentem. Uważa to za wyśmienity żart.



Jeśli na przykład pytam:

– Mogę przyjść jutro pół godziny później?

Nie odpowiada, tylko mnie małpuje:

– Mmogga pszi tro pooo goszina pozniii?

Ja na to:

– Tak, zabawne. I co, teraz mogę?

Potem znów on:

– Taa, zawawni. Isoo, teraa mmoggi?

W fazach wzmożonej żartobliwości nie da się z niego wyciągnąć żadnej odpowiedzi. Kiedyś byłam już tak wkurzona, że po prostu dałam sobie spokój.

Pan Prominent jest też jednak geniuszem językowym. Doskonale opanował nie tylko włoski, lecz także mój ojczysty język. Polski.

Gdy mnie zagaduje, nie wymawia mojego imienia, lecz zawsze mówi tylko „Dobrze”.

Wymawia to jak „dobsze”.

Dlaczego pan Prominent chce mnie nazywać „dobrze”, nie zdradził mi wprawdzie, ale jeśli sprawia mu to radość, nie ma problemu. „Witaj, Dobrze!” – „Dobrze, możesz tu przyjść?” – „Gdzie się podziała Dobrze?”.

Z mojej strony też.

Byłam już nazywana znacznie gorzej.

Przez pięć lat po prostu przyjmowałam to do wiadomości.

Przed rokiem właściwie też było całkiem dobrze...

Pani Prominentka była wtedy w ciąży z trzecim dzieckiem.

Ponieważ akurat planowałam swój ślub i pojechałam w tej sprawie do Polski, zastępowała mnie matka. Państwo Prominenci odwołali to zastępstwo esemesem:

Niech twoja matka jutro nie przychodzi. Nie jest potrzebna.

Dziękuję.

Dobrze, przekazałam to matce z Polski przez komórkę. Ucieszyła

się, bo miała akurat dużo roboty i zgodziła się tylko z grzeczności, ponieważ pani Prominentka była w ciąży. A ciężarne, tak uważa moja matka, trzeba wspierać.

Z tego też powodu godziła się na zastępstwo, gdy jechałam na letni urlop.

– Ciężarnym nie można odmawiać.

Dlatego za drugim razem odwołała sprzątanie gdzie indziej.

I oczywiście leżałam w Egipcie na plaży, gdy moja komórka, która wyjątkowo była włączona, zameldowała nadejście esemesa.

Prominenci: Witaj, Dobje! Możesz dać nam numer twojej matki?  
Chcemy odwołać ją jutro.

Ja: Nie Dobje, tylko DOBRZE!!! Poza tym mam na imię JUSTYNA!  
Nic nowego, że CIĄGLE odwołujecie, kiedy organizuję wam zastępstwo!

Prominenci: Bardzo szanowna Justyno, to odwołanie ma powody, o których nie chcę ci opowiadać – sorry, że sobie zażartowałem – pięknego urlopu.

Ja: Wystarczy, że powiesz Justyna! Mam imię podobnie jak ty!  
A moja matka specjalnie się zwolniła na ten czas!

Byłam tak zła na to ciągle przesuwanie to w jedną, to w drugą stronę, że od razu zamachnęłam się do rozdawania ciosów.

Na coś takiego w czasach Marii bym się nie odważyła. Dziś mam mniej cierpliwości i jestem znacznie bardziej bezpośrednia. Dzięki temu mniej się cierpi.

Wprawdzie pan Prominent potem był dwa miesiące urażony, ale w końcu mu przeszło.

I od czasu mojego esemesa jestem Justyną.

Nad „y” jeszcze pracuję.

Nie wiem, czy ma to związek z przyjaźnią z Marią, ale obydwój Prominenci też trochę popadają w przesadę. Dla swojego wówczas dziewięcioletniego syna zamówili na urodziny nowego iPhone'a, którego

tu jeszcze nie było na rynku. Córka ma dziesięć lat i systematycznie reguluje brwi: „Nigdy nie jest za wcześnie, żeby zacząć to robić!”.

Aha...

O wartości swoich dzieci pani Prominentka jest głęboko przekonana.

– Wiesz, Justyno, bez względu na to, gdzie wysyłam moje dzieci, wszędzie ludzie mówią, że są takie uprzejme, grzeczne i zawsze mile widziane.

Ja jestem innego zdania. Kiedy sprzątam, biegają po świeżo umytych podłogach, nie witają się ze mną, a kiedy widzą mnie w mieście, w ogóle nie reagują.

Uprzejmość wygląda inaczej.

Że za fasadą miłości też nie jest specjalnie czysto, pokazuje takie oto zdarzenie.

W zeszłym tygodniu na obiad przyszła przyjaciółka pani Prominentki ze swoim małym synkiem.

Córka pani Prominentki też przyprowadziła ze szkoły przyjaciółkę. Już przed drzwiami małe jęczały: „Jesteśmy głodne!”. Gdy w końcu jedzenie było gotowe, pani Prominentka wyjęła tylko trzy talerze, dla siebie i dla gości, i powiedziała do obydwu dziewczynek:

– Taaa, to okropne tak siedzieć przy stole i nie dostać niczego do jedzenia.

Na co dziewczynki:

– Chodź, idziemy na górę, wtedy przynajmniej nie będziemy musiały patrzeć na jedzenie.

Zaniemówiłam.

Po godzinie pani Prominentka wcisnęła córce w dłoń dziesięć euro i wysłała ją do Kentucky Fried Chicken.

– Kupcie sobie kurczaka.

Gdy te dwie wyszły z domu, zwróciła się do swojej przyjaciółki ze słowami:

– One teraz będą wsuwać tłustego kurczaka. A my jemy zdrowo!

Dwadzieścia minut później dzieci wróciły. Gdy przyjaciółka poczuła

zapach kurczaka, podskoczyła i oznajmiła:

– Och, pysznie pachnie, idę, przyniosę też dla nas!

To powiedziawszy, wyszła z domu.

Tyle na temat „zdrowego żywienia”...

To, że Prominenci za błyszczącą fasadą żyją mocno ponad stan, stało się dla mnie jasne, gdy sprzątałam u innej rodziny i zobaczyłam tam elegancką fotografię.

– To z Balu Sportu w Wiesbaden – wyjaśniła mi pani domu.

Bal Sportu jest imprezą dla VIP-ów o statusie *high security*, na którą można wejść tylko za zaproszeniem. Tygodnie wcześniej trzeba wysłać kopię paszportu, by zostać wpisanym na listę gości.

Jeśli kogoś na niej nie ma, nie może wejść.

Pan i pani Prominenci też tam byli.

Oczywiście.

Opowiedzieli mi przecież z detalami.

Wszyscy ważni ludzie cieszyli się, że się z nimi spotkali.

– Wiesz, Justyno, właściwie w ogóle nie chciało nam się tam iść. Ale nasi przyjaciele byliby rozczarowani. No tak, miło też było się z nimi wszystkimi znów zobaczyć. Co za radość!

Pani domu znała oboje.

– Oni? Wiesz, jak weszli? Znają kucharza z firmy cateringowej. Wpuścił ich tylnymi drzwiami.

Na dowód pokazała mi listę gości.

Prominentów na niej nie było.

## Portugalska księżniczka

Kolejną przyjaciółką Marii Belgijskiej jest pewna Portugalka około czterdziestki. We wcześniejszym życiu była opiekunką i pielęgniarką staruszków. Potem złowiła bogatego męża. I stała się wytworną damą.

Poznałam tę dobrą kobietę jeszcze w chudych dla niej czasach. Gdy skromnie zarabiała jako opiekunka. Ale jej mąż, Włoch, dokładał do tego swoje zarobki i wówczas starczało nawet na sprzątaczkę. Do tej rodziny z małą córeczką przychodziłam dwa razy w tygodniu.

Byli całkiem mili, a Portugalka wydawała się sympatyczną klientką.

Dopóki nie stała się kimś Lepszym.

Kiedys poznała pewnego Niemca, który odziedziczył duży spadek. Zostawiła swojego Włocha i wyszła za mąż za tego bogacza.

Teraz była kimś w rodzaju wielkiej księżnej.

Ale żeby wyglądało to naprawdę przekonująco, trzeba odpowiednio traktować poddanych.

W ciągu tygodnia stałam się dla niej nikim.

Jeśli dawniej siadałyśmy razem na pół godzinki przy kuchennym stole i gawędziłyśmy przed pracą, teraz skrupulatnie unikała jakiegokolwiek rozmowy ze mną. Przekazywała mi tylko krótkie polecenia. Nasze dotychczasowe „ty” zmieniło się z powrotem w zdystansowane „pani”.

Byłam obdarowywana pejoratywnymi komentarzami („To kurz! Jest

pani ślepa? To proszę założyć okulary!”) i najwyraźniej stałam się dla Wielkiej Księżnej czymś na kształt kupy brudu, od której można się zarazić.

Pamiętam, jak w kuchni odstawiłam szklanę wody, z której akurat trochę upiłam. Weszła Wielka Księżna, pomyliła swoją szklanę z moją i napiła się z niej.

Z uprzejmości zwróciłam jej uwagę, że to moja szklanka.

Zaskrzeczała na to:

– COOO? FEEE!

Dławiąc się, upuściła szklanę i pluła do zlewu w kuchni, a potem wytarła język ścierką.

Cóż, potrafię to zrozumieć. Myślę, że nie ma nic gorszego, niż zarazić się sprzątaczym wirusem.

Wtedy nocą wyrastają na dłoniach gumowe rękawiczki.

I nie można ich już nigdy zdjąć.

I jak by to wyglądało u Wielkiej Księżnej?!

Ta panika była naprawdę uzasadniona.

Ale szczególnie dworsko to ta akcja nie wyglądała...

Tak czy inaczej, kiedyś podczas kryzysu gospodarczego portugalska księżniczka musiała popaść w tarapaty finansowe. A cóż łatwiejszego, niż brakujące pieniądze wziąć sobie od sprzątaczk?!

Ale sama byłam sobie winna.

Popęłniłam pewien błąd.

W napadzie umysłowego zaćmienia (sprzątaczy wirus?) przegapiłam czerwoną skarpetkę, która ukryła się w poszwie na kołdrę. Po praniu sweter i spodnie były zafarbowane.

Czułam się strasznie i od razu wyznałam swój błąd.

– Żaden kłopot – brzmiała wspaniałomyślna odpowiedź.

Zaproponowałam, że zapłacę za szkody.

– Ale co tam, to się przecież czasami zdarza.

Poczułam ulgę, że traktowała to tak na luzie, i zapomniałam o tym epizodzie.

Pół roku później zrobiłam dwumiesięczne rozliczenie i chciałam jak

zwykle wziąć przy następnej wizycie należne pieniądze.

Ale na stole leżało tylko dwadzieścia euro.

To było o siedemset euro za mało.

Nie potrafiłam sobie tego wyjaśnić i dlatego następnego dnia zadzwoniłam do dobrodziejki.

Ja: Halo? Chciałam wczoraj odebrać pieniądze, ale było tam tylko dwadzieścia euro.

Ona: Tak? I co?

Ja: Ach, to o siedemset euro za mało...

Ona: Rzeczywiście, Justyno. Potrąciłam je.

Ja: Potrąciła pani? Dlaczego?

Ona: Bo zniszczyła mi pani sweter i spodnie.

Ja: Co? Ale to było ileś miesięcy temu, a pani już dwukrotnie zapłaciła mi pełny rachunek! Poza tym powiedziała pani przecież, że to nic złego.

Ona: Jeszcze raz się nad tym zastanowiłam. Uważam, że tak jest fair.

Ja: A ja nie!

Ona: Ma pani prawo do swojego zdania.

Jaka wspaniałomyślna! Czyżbyśmy teraz postanowiły wstąpić do grona łaskawców?

Niestety, ta łaska nie pozwalała mi na zakup czegokolwiek, najłaskawsza.

Nie dało się jednak nic zrobić.

Zrezygnowałam z moich pieniędzy i próbowałam pocieszyć się myślą, że w istocie zafarbowałam to pranie. Ale pozostał gorzki niesmak; zwłaszcza że moim zdaniem siedemset euro za dwie sztuki ubrania to przecież trochę drogo...

I to była kobieta, która wcześniej nie знаła marki Prada, a teraz trzymała w garderobie cztery pary praktycznie identycznych butów od Prady, które różniły się tylko kolorem małej kokardki na pięcie: różana,

lila, niebieska i jaskraworóżowa. Obok stu pięćdziesięciu innych par butów od Gucciego do Gabbany.

Ewidentne problemy finansowe doprowadziły do tego, że cała rodzina wyniosła się do Portugalii, „bo tam życie jest dużo tańsze”.

Przed przeprowadzką rachunek opiewał – oprócz tych siedmiuset – jeszcze na dziewięćset osiemdziesiąt pięć euro, które powinnam otrzymać za swoją pracę. Musiałam trzy miesiące żebrać o to, żeby je w końcu dostać.

Pisałam esemesy, dzwoniłam, zachodziłam do niej.

Wreszcie otrzymałam kopertę dokładnie z dziewięćset osiemdziesięcioma pięcioma euro.

Po siedmiu latach i czterech miesiącach pracy dla niej, portugalskiej księżniczce nie przyszło do głowy, by zaokrąglić tę sumę.

Jako prezent na pożegnanie i podziękowanie za pracę.

Drobne piętnaście euro robi czasem dużą różnicę.



## **Drobne prezenty podtrzymują przyjaźń**

**U**tarło się, by sprzątacze dawać prezent na Gwiazdkę.

Większość klientów daje pieniądze, często bardzo kreatywnie zapakowane, złożone lub jakoś inaczej zaaranżowane. Nie ma reguły co do wartości tego podarku: dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt, a czasem nawet dwieście euro.

Boże Narodzenie uważa się za wspaniałą okazję, by wyrazić swemu skarbowi uznanie.

Ale że nie zawsze jest ono powalająco duże, każą przypuszczać niektóre pomysły na prezenty, które zebrałam dla własnej uciechy.

Chętnie się nimi podzielę.

Na koniec dodam jeszcze moją osobistą listę najlepszych prezentów gwiazdkowych.

Zapewniam, że naprawdę je wszystkie dostałam. Czasem nawet okraszone miłym słowem...

### **Opakowanie pierników**

sprzed roku...

### **Poradnik o sprzątaniu**

„literatura fachowa”

### **Kurs niemieckiego Langenscheidta**

„Kształcenie jest takie ważne”.

**Skrzynka konserw owocowych**

„dla Polaków”

**Kosz delikatesowy**

z produktami przydatnymi do spożycia jeszcze tylko przez tydzień

**Jedna świeczka do podgrzewacza i jedna torebka herbaty**

„Na jeden relaksujący świąteczny wieczór!”.

**Torebka mieszanki ziołowej**

„Pyszne zioła do sałaty”.

**Talon na 5 euro do H&M**

wystarczy na gumkę do włosów...

**Moneta o nominale 2 euro**

„Niech pani idzie raz się czegoś napić!”.

**Kostka glukozy**

„Żeby zawsze miała pani dużo energii przy sprzątaniu!”.

**Długopis**

od Deutsche Bank!

**Dwie butelki wody z sieci Aldi**

bez bąbelków...

**Podróżny igielnik**

z hotelu

Drobne prezenty podtrzymują przyjaźń...

Można byłoby jeszcze wiele opowiadać.

O Juanie, Hiszpanie, który lubi nosić damską bieliznę.

Albo o Dieterze, który demonstrował mi swoje ulubione praktyki seksualne na macie z pianki.

O Doris, która zawsze kupuje sobie za ciasne ubrania, bo chce schudnąć, ale nigdy jej się to nie udaje.

Albo o Mareike, która zdradza męża, kiedy ja sprzątam w salonie.  
Historii nie brakuje.

Ale kiedyś trzeba skończyć.

Pozostała jeszcze tylko jedna opowieść.

Ta o panu Schneiderze.

## Epilog

Panie Schneider?!

– PANIE SCHNEIDER!

O Boże, on nie żył!

Potrząsałam nim, ogarnięta panicznym strachem.

Starszy pan poruszył się, charcząc.

Podbiegłam do okna, pospiesznie podciągnęłam rolety i gwałtownie otworzyłam drzwi na balkon.

Do pomieszczenia wdarły się światło i świeże powietrze.

Rozejrzałam się dookoła.

Wszędzie leżały słoiki po przetworach. Pomiedzy nimi kilka butelek po piwie i kukurydza.

Resztki zawartości słoików wymieszały się na podłodze z alkoholem, który skapywał z prawie pustych butelek.

Czuć było silny zapach ryb.

Pan Schneider leżał na łóżku i jęczał.

Przed nim kałuża wymiocin.

Jego spodnie wyglądały, jak gdyby nie zdążył na czas do toalety. Rozchodzący się smród potwierdzał moje przypuszczenie.

Podeszłam do niego, omijając przy tym śliskie miejsca na podłodze, i chwyciłam go za ramiona.

– Panie Schneider! Co się dzieje? Napędził mi pan okropnego

stracha! Co się stało?

Ledwie był w stanie odpowiedzieć. A ja nie rozumiałam z jego mamrotania ani słowa.

Wezwałam więc pogotowie i trzymałam pana Schneidera za rękę. Dziesięć minut później do drzwi zadzwoniło dwóch sanitariuszy, szybko zbadali go i zabrali do szpitala.

Zostałam zatroskana w pustym mieszkaniu i zabrałam się do sprzątnia.

Tydzień później zadzwonił telefon.

To był totalnie skruszony pan Schneider.

Wypuszczono go ze szpitala, kiedy już odespał swoje upojenie.

Przepraszał niezliczoną ilość razy. Było mu bardzo głupio, że tak sobie pozwolił i się zapomniał. Ale miał powody. I chciał mi je teraz zdradzić. A potem opowiedział mi najbardziej wzruszającą historię, jaką kiedykolwiek słyszałam.

Pan Schneider się zakochał.

W Polce.

Mariola miała 67 lat, była prawie dziesięć lat młodsza od niego.

Poznali się na „tanecznej kawce”. W ogóle nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. W co drugie niedzielne popołudnie przystraja się halę miejską i ze stu emerytów spotyka się tam na kawę i ciasto. Pośrodku jest parkiet do tańca. W głębi występuje solo artysta estradowy, który budzi wspomnienia starszych państwa.

Pan Schneider poprosił Mariolę do tańca i tańczyli oboje aż do wieczora.

– Potem poprosiłem ją o numer telefonu.

Klasyka.

Pan Schneider i Mariola spotkali się kilka razy i starszy pan zaczął się zakochiwać w dziarskiej damie. Na swój sposób.

– Chciałbym być z kimś na starość. Nie chcę zostać sam. Chcę mieć miłą kobietę, która mi ugotuje i poprowadzi dom. Dobrą duszę, która będzie spędzać ze mną dzień. I noc.

Niestety, Mariola nie miała ochoty prowadzić panu Schneiderowi

domu. Była wdową od dwudziestu lat i wolała bardziej samodzielny i zorientowany na siebie styl życia.

– W moim życiu nie ma miejsca na mężczyznę, który chce, żebym się nim opiekowała – oznajmiła po jego wyznaniu.

Takiej bezpośredniej odprawy pan Schneider nie przyjął po rycersku. Jak zbity pies poszedł do domu, chwycił piwo i otworzył słoik marynowanych rolmopsów, które Mariola przyniosła mu tydzień wcześniej. Pochłonał sześć zwiniętych śledzi, popił je piwem i zauważył, jak dobrze mu to zrobiło. I wziął sobie z regału drugi słoik. I drugą butelkę. Stopień odprężenia i jednocześnie nasycenia wzrósł jeszcze przy trzeciej kolejce. Potem nastąpiła czwarta. Piąta rozplynęła się we mgle zapomnienia, a szóstej pan Schneider zupełnie sobie już nie przypominał.

Najwyraźniej pochłaniał to wszystko w pokoju.

W którymś momencie stracił przytomność na łóżku.

Pan Schneider obudził się, dopiero gdy lekarz pogotowia potrząsał nim w szpitalu.

– Panie Schneider, jak mógł się pan tak zapomnieć?! Z powodu kobiety! – wyrwało mi się.

– Wiem... Ale widzi pani, Justyno, jestem stary i głupi.

Najchętniej wziąłabym go za rękę.

– W każdym razie z tego wszystkiego jedno wyszło na dobre. Mariola odwiedziła mnie w szpitalu i rano idziemy do restauracji. Myślę, że jednak mnie całkiem lubi.

– Tylko, panie Schneider, niech pan, proszę, nic już nie mówi o opiece na starość! Proszę jej prawić komplementy i opowiadać, jak bardzo lubi pan z nią przebywać. W przeciwnym razie nic z tego nie będzie!

Nie wiem, czy to zasługa mojej życzliwej rady, czy też tego, że pan Schneider dzięki swemu załamaniu czegoś się nauczył.

W każdym razie Mariola wprowadziła się cztery miesiące później do pana Schneidera.

Od tego czasu sprzątam dla obojga.

A bywa, że pytają mnie, czy po pracy nie zechciałabym wypić z nimi kawy.

Nigdy nie odmawiam.

Potem opowiadamy sobie historie z Prus Wschodnich i Polski.

Lubię te popołudnia z panem Schneiderem i Mariolą.

I czasem się zastanawiam, czy przeżyłabym kiedykolwiek tak wiele, gdybym nie była sprzątaczką.

Myślę, że nie.

I za to jestem wszystkim winna głównie jedno: wdzięczność.

Jestem sprzątaczką.

Mam bogate życie.